

ODGŁOSY

ROK XX NR 37 (1031)
11 WRZEŚNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



FELIKS DZIERŻYŃSKI 1877-1977

Feliks Dzierżyński — żarliwy rewolucjonista, tytan pracy, który całe swoje życie poświęcił realizacji celu wytkniętego w chwili związania się z ruchem rewolucyjnym — walce z uciskiem i przemocą.

Jako jeden z czołowych przywódców Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy był kontynuatorem rewolucyjnej myśli marksistowskiej i rzecznikiem klasowej solidarności z proletariatem Rosji.

W dniach Rewolucji Socjalistycznej, będąc jednym z najbliższych współpracowników Włodzimierza Lenina, odegrał czołową rolę w zwycięstwie proletariatu rosyjskiego. Był bohaterem i współtwórcą Wielkiego Października, wybitnym działaczem partyjnym i państwowym, budowniczym pierwszego państwa socjalistycznego.

Jego rewolucyjna walka opierała się na całkowitym identyfikowaniu się z ideą, której służył. Nie było dla niego nic ważniejszego ponad sprawę klasy robotniczej. Działanie jego nacechowane było pełnym zaangażowaniem, wiarą w słuszość sprawy, której służył, żelazną dyscypliną partyjną, pryncypialnością sądów i opinii.

Uważany powszechnie za największego z polskich rewolucjonistów, Feliks Dzierżyński może służyć za wzór działacza partyjnego, proletariackiego internacjonalisty, który przyszłość narodu polskiego wiązał nierozdzielnie z socjalizmem.

Dalszy ciąg na str. 3

PROBLEMY ROZBROJENIA

24 sierpnia rozpoczęła się w Monachium XXVII konferencja PUGWASH. Jest to tzw. konferencja 5-letnia, na której, oprócz merytorycznych problemów jakimi zajmuje się ten międzynarodowy ruch uczonych, więc zagadnień rozbrowienia, bezpieczeństwa i współpracy międzynarodowej, podejmowane są też sprawy organizacyjne i dokonywany wybór nowych władz.

W obradach bierze udział ponad 300 uczestników z ok. 50 krajów. Wśród nich obecnych jest 3 laureatów nagrody Nobla: przewodnicząca PUGWASH prof. Dorothy Hodgkin z Wielkiej Brytanii (chemia), prof. Ilia Frank z ZSRR (fizyka 1958) i lord Noel-Baker z Wielkiej Brytanii (nagroda pokoju 1958). Wśród grupy uczonych z ZSRR znajduje się m. in. zastępca dyrektora instytutu USA i Kanady Akademii Nauk ZSRR, prof. M. Milstein oraz kilku wybitnych fizyków i biologów. Wśród Amerykanów — m. in. doradca delegacji USA na rozmowy SALT — H. Scoville i b. doradca prezydenta

Dalszy ciąg na str. 8

Zbigniew S. Nowak

GRA O 30 MILIARDÓW str.6

VII Zjazd PZPR postawił przed społeczeństwem zadania poprawy jakości pracy, ciąglego zwiększania jej efektywności, dla wygospodarowania środków na dalszą poprawę warunków życia i pełniejsze zaspokajanie materialnych i kulturalnych potrzeb społeczeństwa. Na lata 1975-80 założono wzrost produkcji prze-

mysłowej o 50 proc., przy jednoczesnym przyroście zatrudnienia w tym okresie o 1 mln osób mniejszym niż w poprzedniej pięcioletce. Konieczne stało się więc uruchomienie i pełne wykorzystanie istniejących w gospodarce narodowej rezerw.

Ryszard Binkowski

GRANICA str.7

Od podwórza wchodzi się do Jaśkiewiczów. Weranda szerniała, przegniła, dach jak rzeszoto, leje jak z cebra. Zamiast podłogi rdzawe bajorko, w którym chlupią wesoło krople deszczu. W przedśionku podobnie. A z kuchni patrzy na mnie zaleknionym wzrokiem panien-

ka z przyciętymi gładko włosami.

Taty nie ma — baka — O te procesy chodzi?

— Tak. Może porozmawiać z sąsiadami?

Dziewczyna kręci przecząco głową.

— Przecież pisał, że w waszej sprawie zeznawali świadkowie.



Teresa Gabrysiewicz-Krzysztofikowa

HAPPENING str.4

WITOLD NAWROCKI

STR.5

współczesna powieść polityczna

My wam zagramy i zaśpiewamy...

II Festyn Sztuki Ludowej i Folkloru Województwa Sieradzkiego rozpoczął się dużo wcześniej niż w dniu oficjalnej inauguracji. Komitet Organizacyjny nie korzystał przecież z pomocy gusła czy sieradzkich chochlików (choć to nie pewnego, bo pogoda dopisała jak za mówioną...), lecz po prostu umiejętnie zaangażował wszystkich i wszystko co złożyło się na przygotowanie i doprowadzenie do galego finału tej wielkiej imprezy. Sieradzkie zakłady dziewiarskie SIRA i zdunskowski ZWOLTEX przygotowały serie okolicznościowych koszulek ze stylizowanym sieradzkim ornamentem, rękawików i toreb; takie same akcenty ozdobiły skwery w mieście, frontony kamieniczek i wystawy sklepów. Sieradzki festyn w upalny piątek, sobotę i niedzielę stał się autentycznym, masowym świętem tańca, muzyki i plastyki, które swoim rozmachem mogło zamponować najbardziej wybrednym konserwom. W estradzie zmieniono nie tylko płycie rynku czy amfiteatr ale całe prawie miasto, wypełnione od-

świętymi tłumami mieszkańców i gości — ku radości organizatorów — wyjątkowo licznych. Jak w precyzyjnie wyreżyserowanym spektaklu „Światło i dźwięk” akcja przenosiła się z hali sportowej Technikum Budowlanego, nad rzekę, do galerii BWA, muzeum czy na rynek — do zastawionych kramików Cepelli, w których urzędowały dostojne wyćcinanki i hafciarki. Pomysłodawcom Festynu udało się ogromnie: nadzanie, bez chwili przerwy prowadzona masowa impreza sprawiała wrażenie spontanicznej improwizacji i niewymuszonej zabawy. O powodzeniu zadecydowała właśnie masowość i powszechność Festynu; wciągające do akcji wszystkich niemal mieszkańców i gości Sieradza — umownie tylko podzielonych na aktorów i widzów. Na rynku podpisali swoje książki TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI i JERZY WAWRZAK, w Wojewódzkiej Bibliotece można było zobaczyć wystawę książki o sztuce ludowej regionu, w hali kina

wystawę fotograficzną o motywach sieradzkich. W sali zabytowego refektarza poklasztornego odbyła się jubileuszowa Biesiada Sieradzka — spotkanie ludowych poetów i pisarzy z ich sympatykami. Kino „Piast” proponowało wolny wstęp na „Chłopów” i „Samych swoich”, myśliwi — wystawę trofeów, przemysł — pokaz zatyłowany „Nowoczesność w gospodarstwie domowym na wsi”. Nielatwie mieli zadanie uwijający się pracownicy sprawozdawcy prasowi i operatorzy telewizyjni. Z kronikarskiego obowiązku trzeba by odnotować wszystkie imprezy, pokazy, wystawy i festynowe akcenty — choć to zadanie równie niewdzięczne, co wyciągnięcie wszystkich fałdek sieradzkiego stroju czy liczenie paszków na kilimie. II SIERADZKI FESTYN UDAŁ SIĘ PO PROSTU CAŁKOWICIE. SPŁAŁ WSZYSTKIE OCZEKIWANIA ORGANIZATORÓW I UCZESTNIKÓW. Myślę, że z tego właśnie powodu wszyscy, którzy odwiedzili Sieradz w rozróżnione i rozspiewane festy-

nowe dni — zmienili chyba swój obraz województwa; mieli okazję przekonać się, że sieradzanie obojętności i autentycznego zaangażowania dysponują nieprzebranym bogactwem folkloru. Wystarczy go jedynie w umiejętny sposób wyeksponować, przybliżyć, zmniejszyć, że może jeszcze nie jest tak źle z ginącą sztuką ludową. W jednakowy sposób ta wielka impreza była również potrzebna naszym mieszkańcom Sieradza. Okazało się, że wcale nie po to, by przełamywać jakieś kompleksy — ale raz jeszcze odczuć autentyczną dumę. Można chyba postawić tezę, że model wielkiej imprezy folkloru ludowego połączonej z prezentacją literatury, fotografii i osiągnięć regionu, jaki zaproponowali gospodarze województwa — jest najbardziej właściwy dlatego, że obejmuje wszystkie aspekty kultury; daje okazję bezpośredniego jej przeżycia i refleksji wykraczających daleko poza skalę regionu. Nie każdy z zakątków Polski kryje tak wielkie bogactwo ludowej twórczości co region sieradzki. Ale jest pewne, że już teraz można się od sieradzan dowiedzieć, co zawiera recepta na udaną imprezę „dla wszystkich”.

W Sieradzu „postawiono na kulturę” nie od dzisiaj — i dlatego zbieranie płonów tego mądrego

siewu daje tyle satysfakcji. Nie tylko Festyn Sieradzki, ale wiele imprez kultury, wystaw i prezentacji jakie mają w województwie sieradzkim miejsce o wiele częściej niż w podobnych pod względem obszaru i charakteru regionach — nie byłoby możliwych do zrealizowania bez sprzyjającego poparcia władz politycznych i administracyjnych województwa, pełnego zrozumienia z ich strony dla problemów kultury, przemysłowej opieki. To dlatego w Sieradzu na rynkowej estradzie przewinęły się setki młodych artystów w barwnych strojach ze swoją muzyką i śpiewem, cepeliowskie kramiki obiegane były przez tłumy ciekawskich i sympatyków sztuki ludowej twórców a koncert w amfiteatrze — mimo nocnej pory — szedł przy komplecie widzów. Jak przystało na dojrzały organizator w Sieradzu już dzisiaj myśli się o przyszłorocznym festynie, dyskutuje się nad nielimitowaną niedościgniętą, planuje nowe atrakcje i niespodzianki. Do zobaczenia za rok!

P.S. W następnym numerze zamieścimy fotoreportaż z Województwa Parysa z II Festynu Sieradzkiego.

ANDRZEJ MAJER

ENCYKLOPEDIA REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ

Dzieje Rewolucji Październikowej 1917 roku w Rosji oraz różnorodne aspekty jej przebiegu i międzynarodowego znaczenia należą do rzędu wielkich tematów historii powszechnej i nieustannie, mimo upływu 60 lat, nie przestają pasjonować świata. Rewolucja wpłynęła w swej epoce i wpływa nadal w sposób istotny na kształtowanie się losów ludzkości. Rosnie też wszędzie, także w Polsce, zainteresowanie społeczeństwa i szerokiej opinii publicznej dziejami rewolucji październikowej. Wielekrotnie tak na forum publicznym podnoszono potrzebę wprowadzenia na rynek książkowy gruntownie opracowanej, ale popularnie ujętej i

przejrzystej publikacji o charakterze encyklopedycznym na temat tego wielkiego wydarzenia. Taką próbę z sukcesem podjęło Wydawnictwo Wiedza Powszechna publikując „ENCYKLOPEDIĘ REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ”. Składa się na nią ponad 1200 haseł zawierających węższe informacje o najważniejszych zjawiskach społeczno-gospodarczych, politycznych, ustrojowych i kulturalnych, a także o wydarzeniach, instytucjach, organizacjach, czołowych postaciach, które decydowały o obrazie tego epokowego wydarzenia. Informacje zawarte w Encyklopedii dotyczą przesłanek Rewolucji, sytuacji ekonomiczno-

-społecznej Rosji u schyłku panowania caratu, jej klas społecznych, najważniejszych wydarzeń politycznych w okresie między rewolucją lutową i październikową, działalności rad, komitetów fabrycznych, żołnierskich i chłopskich, Gwardii Czerwonej, milicji ludowej oraz innych masowych organizacji. Ze względu na to, że Rewolucja objęła swym zasięgiem setki tysięcy osób Encyklopedia jest bogato upersyfikowana, zawiera liczne noty biograficzne o działaczach różnych szczebli i orientacji politycznej. Około jednej trzeciej tekstu Encyklopedii dotyczy problematyki polskiej — udziału Polaków w rewolucji i losów ludności polskiej w Rosji w tym

okresie. Tematem poszczególnych not są tu związki, stowarzyszenia i instytucje polityczne, zawodowe, kulturalno-oświatowe i wojskowe, prasa polska w Rosji, działalność Komisarzatu do Spraw Polskich. Inne hasła ilustrują wpływ rewolucji na sytuację społeczno-polityczną i postawę mas pracujących na ziemiach polskich i sytuację w polskim ruchu robotniczym.

Podstawą omawianej publikacji była Mała Encyklopedia Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej, która ukazała się w 1968 r. w Moskwie nakładem Wydawnictwa „Encyklopedia Radziecka” pod redakcją G. N. Golikowa, M. I. Kuźniecowa i L. S. Szaułman. W polskim wydaniu ponad połowa tekstu pochodzi z edycji radzieckiej, z czego 30 proc. adaptowano, skracając lub rozwijając tekst, zależnie od przewidywanych wymogów i zainteresowań polskich czytelników. Inne adaptacje wynikały z postępu wiedzy zaszłego od momentu wydania radzieckiego

pierwowzoru. Pozostałe ponad 40 proc. tekstu to hasła całkowicie nowe, opracowane przez historyków polskich, dotyczące przede wszystkim spraw polskich. Są to A. Achmatowicz, E. Barszcz, W. Bortnowski, W. Bułat, L. Lubacki, A. Garlicki, A. Kochański, Z. Łukawski, J. Myśliński, J. Sobczak, Z. Spieralski, I. Spustek, M. Tanty, M. Waldenberg, R. Wojna, M. Wrzosek. Redaktorami naukowymi są LUDWIK BAZYŁOW i JAN SOBCZAK. Zespół redakcyjno-wydawniczy pracował pod kierownictwem Tadeusza Kosmali, dyrektora i red. nac. Wydawnictwa Wiedza Powszechna, graficznie opracował książkę Tytus Walczak.

Ta krótka nota ma wyłącznie charakter informacyjny. Na merytoryczną ocenę dzieła przyjdzie czas i niewątpliwie podejmą ją specjaliści przedmiotu. Już teraz można jednak stwierdzić bez cienia wątpliwości, że mamy do czynienia z publikacją o wielkim znaczeniu i wartości, której nie sposób przecenić.

PIERWSZY DZWONEK OSTATNI DZWONEK

Rozpoczął się rok szkolny. Ostatni przed doniosłą reformą — wejściem w życie dziesięciolatkich. Kontynuowane są tymczasem prace nad ostatecznym spreycyzowaniem programów nauczania, nad podręcznikami dla nowej szkoły. Pracom tym towarzyszy szerokie zainteresowanie, mające niejednokrotnie swój wyraz w szczegółowych polemikach. Chodzi o nadanie słusznego kształtu wprowadzanemu systemowi narodowej edukacji. Wiadomo już, że dotyczący przedmiot wychowania muzycznego nazywać się będzie „muzyka”. Nazwa bardziej lapidarna, lecz i czas nauki krótszy niż dziś. Zajęcia obliczone w aktualnej wersji programo-

wej na lat 8 (od kl. IV po 1 godzinie tygodniowo), z wyłączeniem klas IX i X. Trzeba od razu podkreślić, że projekt ten wywołuje — właśnie z racji skrócenia kursu — sprzeciw środowiska muzycznego. Nie neguje ono, rzecz jasna, roli czasu przeznaczanego na muzykę w ośmiu klasach. Jest jednak świadome faktem, że w tych warunkach będzie bardzo trudne, a właściwie wręcz niewykonalne, osiągnięcie pożądanego poziomu umuzykalnienia młodzieży. Poziomu zgodnego z założeniami pełnego uczestnictwa w kulturze absolwentów przyszłej szkoły ogólnokształcącej. Skąd tak pesymistyczna ocena? Bierzcie się ona z kilku prostych danych. Otóż do wieku 14 lat (czyli do kl. VIII) mo-

żna niewątpliwie wykształcić w dziecku takie cechy, jak chęć do śpiewu i gry na instrumencie, można rozwinąć słuch. Na tym jednak w zasadzie koniec. Bo też trudno mówić tu o zaprogramowaniu umiejętności percepcji poważnych dzieł muzycznych, rozróżniania stylów, odczuwania głębszej treści wyrazowej, niuansów odtworczych. Nie sposób nauczyć syntetycznego ujmowania problematyki kultury muzycznej. Do tego niezbędna jest określona dojrzałość intelektualna, cechująca uczniów ostatnich klas. Z tego też względu zatrzymanie edukacji muzycznej na etapie dotychczasowej szkoły podstawowej budzi w odniesieniu do powszechnej szkoły średniej uzasadnione wątpliwości i dezaprobatę. Polska Sekcja ISME (Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania Muzycznego) wystosowała już swego czasu do odpowiednich władz memoriał, w którym stwierdza, że „byłoby to przejawem braku konsekwencji i logiki w podjętych dotychczas poczynaniach. Byłoby krokiem w kierunku

obniżania rangi nie tylko samego przedmiotu, ale również i jego rękowników — nauczycieli wychowania muzycznego. Założenia programu dziesięciolatkich — czytamy w memoriale — zdecydowanie zakładają integrację treści nauczania różnych przedmiotów. Ta integracja jest niemożliwa z chwilą, gdy wychowanie muzyczne zostanie przerwane na klasie VIII. Musiałaby w tej sytuacji nastąpić rezygnacja z wielu działań wiedzy muzycznej, którą można przedstawić jedynie w powiązaniu z odpowiednimi treściami historii powszechnej i literatury przeznaczonymi dla klas wyższych”.

Wysuwany postulat zmierzający do rozciągnięcia cyklu lekcyjnego na okres 10 lat nie jest, jak widać, nieuzasadniony. Wynika zaś z troski o stan społecznej kultury muzycznej przyszłych pokoleń. Uczymy się na błędach. Na skutek niefortunnnych decyzji podejmowanych w przeszłości, w rezultacie np. wykreślenia umuzykalnienia z programów szkolnych w latach powojennych, wyrosło pokolenie ludzi wykazują-

cych nieraz całkowitą obojętność dla wszelkich gatunków muzyki poważnej, jazzu; ludzi skądinąd kulturalnych i wykształconych, o ograniczonej jednak wrażliwości estetycznej, dla których Polihymnia to wciąż jedynie piosenka. Późniejsze lata także nie były wolne od uchybień. Wprowadzone do szkół wychowanie muzyczne realizowane było często w sposób niekompetentny, przez ludzi przypadkowych. Obecnie z każdym rokiem wzrasta ilość dyplomowanych fachowców w tej dziedzinie. To ważny czynnik poprawy. Stanowi on szansę zlikwidowania za jakiś czas rażącej dysproporcji między wspomnianym indyferentyzmem artystycznym części społeczeństwa a wybitnymi osiągnięciami współczesnej polskiej twórczości kompozytorskiej i wykonawstwa. Drugim równie ważnym czynnikiem jest jednak racjonalny program szkolnego kształcenia.

Ostatni to bodaj moment, by sprawę tę raz jeszcze przemysleć.

JANUSZ JANYST

„MISTRZ REWOLWERU”

Przed wielu już dziś laty dwa wspaniałe filmy mistrza japońskiego kina, Akiry Kurosawy, a mianowicie „Śledźmy wspaniałych” i „Rashomon” stały się fabularnymi pretekstami do amerykańskich westernów. Później, pierwszy aktor filmów Kurosawy, Toshiro Mifune, grał w zbudowanym na dość szalonym pomysłu westernie pt. „Samuraj i kowboje”. Kolejne japońskie „natchnienie” odnalezienie można w „Mistrzu rewolweru”, który to film wykorzystuje scenariusz znanego i u nas „Honoru samuraja” Hideo Goshy.

Reżyserem „Mistrza rewolweru” jest Tom Laughlin, będący jednocześnie wykonawcą tytułowej roli, a znany już u nas z filmu „Straceńczy”. Ostatni swój film podpisał zresztą imieniem 9-letniego syna Franka, co przysłało sprawie dodatkowych okazji do różnorodnych,

węszących sensację komentarzy. Tom Laughlin cieszy się bowiem na Zachodzie sławą reżysera i aktora, który śmiało konkuruje z Clintem Eastwoodem w eksploatacji okrucieństwa i gwałtu jako elementów niezwykle silnie podbijających atrakcyjność filmowych widowisk.

Akcje japońskiego „Honoru samuraja” przeniósł Laughlin do Kalifornii trzydziestych lat dziewiętnastego wieku, a jedynym znakiem przypominającym oryginał uczynił miecz samurajski, którą to broń (nie wiadomo właściwie czemu, choć coś tam narrator o tym opowiada) posługują się w walce filmowi antagoniści.

To konflikt, czyli walki głównego bohatera — Finleya, działającego oczywiście w imię sprawiedliwości, a prowadzonej z jego szwagrem — hiszpańskim ranczerem Paulem,

Jest nawet ciekawe. Miłośnikom westernu „Mistrz rewolweru” odkrywa jeszcze jedną, stosunkowo mało znaną kartę z historii Dzikiego Zachodu. Ukazuje czasy, kiedy to rząd federalny w Waszyngtonie dążył różnymi sposobami do likwidacji misji hiszpańskich w Kalifornii, po to, aby ich ziemie móc oddać kolonistom ze Wschodu. Hiszpanie bronią swych pozycji. Gotowi są do zbrodni i rabunku, których ofiarami padają miejscowi Indianie.

Taką to sytuację zaczyna się opowieść o mistrzu rewolweru nazwiskiem Finley. On to stanie w obronie nękanym Indian, gotów zrezygnować z przynależnych mu bogactw i życia rodzinnego u boku pięknej Enli, siostry zbrodnicy Paula, który przedtem był najwzierniejszym druhem naszego bohatera. Finley z woli reżysera i aktora, pana Toma Laughlina, jest bohaterem szlachetnym — nie mieczem samurajskim i rewolwerem kowboja sprawiedli-wość, wygłaszając przy tym u-

moralizujące przemówienia, ciężko wzdycha nim zabije. Zabija zaś znakomicie, sprawnie, szybko, w ogromnych ilościach. Kądnocielestwo przemieszane z rzeźniczym zriemostem to główny wyznacznik tej postaci. Wyznam, że ta „filozofia przemocy” budzi niesmak ogromny. To prawda, że wiek XIX nie był na zachodzie Ameryki wiekiem cyfrowym moralnych, ale panu reżyserowi nie o prezentację historycznych i moralnych prawd o tamtych czasach chodzi. Wszystko jest pretekstem po temu, by poprzeczkie okrucieństwa i gwałty podbić jeszcze wyżej. Wszystkiego mało, widz jest już tak z nim oswojony, że trzeba być jeszcze odważniejszym, jeszcze dwuznaczniejszym — wtedy się nad nim zapanuje, wtedy się go kupi. I kupuje — u nas też.

Czemu tak się dzieje? — dużo w psychologii i socjologii już się o tym mówi. Na ogół owa eskalacja bodźców budzi przerażenie i protest, padają jednak i głosy o tym, że są formą zastępczą, rozładowującą

tkwiące w nas złe instynkty. Dokąd to wszystko prowadzi, tego jeszcze nikt nie wie.

Dziwić natomiast może nasza polityka zakupów, w której często raczej finansowe wypierają racje natury moralnej, czy — jak kto woli — natury wychowawczej. Czy rzeczywiście nasze kino bez tak ekstremalnych przykładów, jak np. „Mściciel” Eastwooda czy „Mistrz rewolweru” Laughlina egzystować nie mogą? Poza nimi i tak mamy zbrodni i gwałtu na ekranie dość wiele, czasami funkcjonują one jednak na nieco innych zasadach niż we wspomnianych tu filmach.

To, że „Mistrz rewolweru” może się wydać interesujący ze względu na pewne tendencje zachodniego kina, że sam film jest dla znawców gatunku ciekawy, ze względu na szczegółową, a demonstrowaną w nim nonszalancję w traktowaniu konwencji, nie przesadza o tym, że film ten musiał się znaleźć na naszych ekranach.

EWA NURCZYŃSKA

INFORMACJE

Sienkiewicz i Prus najpopularniejsi

Wysokość miliona egzemplarzy przekroczyły nakłady książek 86 polskich pisarzy. Jak wynika z danych zgromadzonych przez Pracownię Statystyki Wydawnictw Biblioteki Narodowej, w latach 1944—1975 najpopularniejszymi naszymi pisarzami byli Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus. Książki pierwszego z nich wznowiane były w tym okresie aż 377 razy w nakładzie 15.712 tys. egzemplarzy, drugiego zaś — 372 razy w nakładzie 15.230 tys. egzemplarzy. Książki sześciu pisarzy osiągnęły nakłady w granicach 10—15 mln egzemplarzy. Do grupy tej należy m. in. Maria Konopnicka (14,6 mln egz.), Józef Ignacy Krasiński (13,8 mln egz.), Adam Mickiewicz (12,6 mln egz.) i Stefan Żeromski (11,2 mln egz.).

„Warszawski Wrzesień”

„Warszawa w sztuce 1977” — jedenasty z kolei cykl pokazów plastycznych dedykowanych stolicy uświetnia impreza „Warszawskiego Wrzesnia”. Ekspozycje rozmieszczone w kilku salach umożliwiają publiczności obejrzenie ponad 500 prac ok. 250 autorów.

Na inauguracyjnej wystawie, która 5 bm. została otwarta w „Zachęcie”, zgromadzone ok. 300 prac z dziedziny malarstwa, rzeźby wraz z medalierstwem oraz tkactwa. Ekspozowane prace, związane tematycznie ze stolicą — są wyrazem stosunku warszawskich artystów do swego miasta.

Tego samego dnia w Domu Artysty Plastyka otwarto wystawę grafiki artystycznej i użytkowej, rysunków pt. „Notatki z Warszawy”, ilustracji książkowej oraz wzornictwa przemysłowego.

Książki za przeszło 3 miliony zł

Przeszło 3.826 mln zł wydał w ub. roku w księgarniach „Domu Książki”. Przeciętnie statystyczny Polak przeznaczył więc ok. 110 zł na zakup książek, podczas gdy w 1975 r. 102 zł.

W skali kraju wielkość ta kształtuje się jednak różnie. W tabeli przedstawiającej jej wysokość w poszczególnych regionach daje się zauważyć poważne dysproporcje. Najwyższy wskaźnik posiada stołeczne województwo warszawskie — przeciętnie 261 zł na osobę, najniższy — woj. zamojskie — niecałe 45 zł. Okazuje się, że najchętniej kupują książki mieszkańcy województw, na których terenie znajdują się większe ośrodki miejskie o bogatych tradycjach życia naukowego i kulturalnego.

Nad czym pracują twórcy

O swych najbliższych planach twórczych, o tym nad czym obecnie pracują powi-

MARIA KUNCIEWICZOWA — Przygotowuję dla „Czytelnika” cykl esejów o Stanisławie Przybyszewskim, z tym, że po stać Przybyszewskiego będzie tylko pretekstem do porównania dwóch epok: epoki Młodej Polski i czasów współczesnych. Pracuję nad książką „Polscy klasycy w Chicago”, będącą plonem moich wykładów na uniwersytecie chicagowskim. Pragnę wydać opublikowane w różnych pismach nowele.

JERZY LOJEK — Przygotowuję do wydania polską edycję pamiętników księcia Stanisława Poniatowskiego, bratanka króla Stanisława Augusta. Ukaza się nakładem „Pax” w moim przekładzie z języka francuskiego i z moim wstępem. Ukończyłem niedawno scenariusz filmowy pt. „Król obójczy” (o porwaniu króla Stanisława Augusta przez konfederatów barskich w 1771 r.).

STEFANIA WOYTOWICZ — Najważniejszym moim zajęciem jest przygotowywanie na odtwarzanie „Warszawskiej Jesieni” wykonania dedykowanego mi „Śpiewów polskich” Krzysztofa Meyera, do słów Juliana Tuwima.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAŁDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZLEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

**JAN
TELESZYŃSKI**

na pierwszej linii frontu

3

TERESA GABRYSIEWICZ-KRZYSZTOFIKOWA

HAPPENING

Happening był udany, nawet wybitnie udany. Cokoła z zadowoleniem rozejrzała się wokół. Obserwował zebranych dłuższą chwilę. Goście dopisali i najwidoczniej czują się nieco zaskokowani. A o to przecież gospodarzowi szło. Na tym zależało. Żeby najoryginalniej, właśnie w tej chwili.

Początki Jabłoński przysłał mu tego przesmykającego Sonnego. W eleganckim smokingu, idealnie wczuli się w rolę mistrza jazzu z Nowego Orleanu. I to z początków dwudziestego wieku. Wanda z Gochą też nie gorzej pozują na damy z tego okresu. Kostiumy, dość swobodnie zresztą potraktowane, obejmują i dwudzieste i trzydzieste lata. Dominują krótkie, proste suknie. I pończoszki białe. Włosy w szpic na policzki a la Pola Negri. Cygarniczki długością równoważą skąpe centymetry spódnicek.

Barek, dzięki uprzejmości dwu obrazów w sklepie „Plastyków”, zaopatrzony idealnie. Z taśmy lecają same melodie „tamtych lat”. Przebiega z „Czarnego Kota”, „Morskiego Oka”, „Qui pro Quo”. Napracował się człowiek nad scenografią. Kosztowało, ale efekt jest. Wart był starów.

Cokoła z zadowoleniem myśli o atrakcji zachowanej na później. O deserze, clou programu. Szczypta przyprawy rodem z najbardziej typowego dla przeszłości filmu retro. Zresztą dziś wszystko jest tu retro.

Obraz? Myśl wraca do najważniejszego i najtajniejszego. Obraz pokaże im dopiero przy pożegnaniu. Może nawet nie wszystkim. Wybrańcom. Część gości na pewno rozejdzie się wcześniej. Włożył w tę pracę wiele serca i kunsztu. Tak bardzo mu zależy, aby obraz okazał się tym, czym on przypuszcza, że właśnie jest.

— Kochany — szepc Grażyna przerywa te niepokojące. — Kochany, bądźcie dobrze, przestań już o tym myśleć.

— Może drinka, na co masz ochotę? Wybieraj i rozkazuj...

— Ależ Tadziś — w głosie Grażyny nabrzmiewa z trudem hamowana chęć skarcenia. — Tadziś... Po co to wszystko. Ta parada i cyrk. Tyle alkoholu. Nie jesteś milionerem. Mebli nie mamy za co kupić, wesele planujemy jak studencka biedota i nagle takie wydatki. Rozrzutność — i dla kogo? Obmówią cię potem, z błotem zmieszają. Ty wieczny dzieciaku. Nigdy cię nie nauczę praktyczności.

— Nigdy nie zrozumiesz duszy artysty — broni się żartobliwie Cokoła. Prawdę mówiąc odczuwa odrobinę wygodniczego, starokawalerskiego lęku przed hegemonią energicznej, przeraźliwie realnej, wpartej twardo stopami w ziemię — przyszłej żony.

Happening i dla niej ma być niespodzianką. Nigdy nie uzyskałby jej zgody na te ekstrawagancje. Po prostu nie chciałby zrezygnować ze swego punktu widzenia na „artystyczne wysoki”. Grażyna nie stroni bynajmniej od bałaganianych w plastykach, czy umiarkowanych wygubów w gronie najbliższych kumpi. Nigdy jednak nie pozwoliłaby wydatkom

przeznaczonym na jakąkolwiek rozrywkę przekroczyć ostrzegawczej, „czerwonej” linii w budżecie. Pogodził się z tym, że do niego, w przyszłości należeć będzie twórczość i sprawy kosmiczne, wszystko zaś co określały codziennością znajdować się będzie w mocnych rękach Grażyny. Uśmiechnął się do tej wizji trochę ironicznie, gdyż strokawałerstwo niewątpliwie wycisnęło już piętno na jego psychice, trybie życia, upodobaniach — i — zachowując żartobliwą postawę — wycofał się dyplomatycznie w stronę bufetu.

— Aaa, gołąbeczki — usłyszał za plecami lekko serdeczny głos kolegi. Też artysta, Brzost, zjawił się na przyjęciu nagle i ze stopnia okazywanej przez niego wylewności mogli bezbłędnie odczytać nasilenie zawzięci. Rywalizowali bowiem z Cokołą od dawna. Od zawsze — pomyślał z żalem gospodarz. Nie lubił takich sytuacji. Nie się nie zmienilo właściwie i teraz, gdy pracowali w dwu bardzo różnych przedsięwzięciach. Pozornie przecież nie wchodzili sobie w drogę. Cokoła był plastikiem w Domu Kultury, siłą rzeczy głównie prowadził działalność pedagogiczną, wychowawczą. Brzost projektował meksa o dzieł w Zakładach „Kmicic”, zarabiając przynajmniej dwa razy więcej. A jednak stale zazdrościł. Obidwu adwersarzy cechowało jednak wyrobieństwo i oglądał towarzyska, która nie pozwalała postronnym domyślać się rozmiarów antagonizmu. Bywało, że Cokoła urządził Brzostowi wystawę, a ten w rewanżu zapraszał go na płatne konsultacje do „Kmicica”. Obrazu na konkurs przygotowywali oboje. Strzelili przed sobą zazdrośnie tych prac. Na temat konkursu mieli ostrą scysję. Cokoła wielokrotnie postanowił nie pamiętać o niej. Tym bardziej, że był gospodarzem.

— Cóż, odwołajmy jutro — poruszył Brzost temat „tabu”. — Tak, bracie, jutro. A pijemy dziś. Cokoła zachowywał się swobodnie. Nie i nikt nie zepsuje mu doskonałej zabawy. I nastroju. Niepowtarzalnego.

— Dziś go ujrza, te tłumy, Stary, niech ocenia. Do tej pory tylko profesor widział ostateczną wersję. Powiedział „niezły”. U niego to coś znaczy, choć nie reprezentuje jury.

— Aha, my, zjadacze chleba, nie mamy do niego szczęścia. Rzućmy szukę czystą — dla farsy. Znam to, Tadeusz. Ot, słabostka naszego „Dyngusa”.

Zaśmiali się szczerze. Chociaż i tu reprezentowali różne spojrzenie na „słabostki” profesora. Brzost uderzył w dziesiątkę tą charakterystyką Cokoła poklepał kolegę po ramieniu.

— Fajnie, Stary. Masz rację, zasłużyłeś na drinka.

Podeszli do barku i Cokoła zrezygnowanie wyciągnął spoza polskich winańskich i winiaków butelkę „Henessy” dla koneserów. Brzost wziął butelkę do ręki i obejrzał etykietę. Docenił rozrzutność gospodarza.

— Złoty deszcz ci spadł, co?

Wokoło tymczasem bawiono się doskonale. „Kołtuny”, na ogół też po

niedawno ukończonych studiach, czuli się idealnie w tym retro — studenckim rozgardiaszu. Przypominały się dobre lata. Skakał w takt charlestona pan doktor z panią sekretarzędą Rady Miejskiej, a matematyk tłumaczył coś zawiłe uroczej, łódzkiej malarce. Prawdopodobnie tematem nie były całki ani różniczki.

Stroje, jak się rzekło — lat dwudziestych i trzydziestych, zmieszane się najściślej z modnymi spodniami i wólczy. Panowie lansowali na nowszy krój kłap i duże, miękkie muszki, czasem przewinięły się czarna plama wypoczęty z teatru frak lub ciagle aktualny smoking.

Do tańczącego Cokoły przydreptała przez krzącający w zawrotnym tempie tłum siwutka starowina. Jej drobna, opalona twarz znamionowała chłopski sceptycyzm ale i spryt. Uważne oczy dość dojrzałe i z wyrozumiałością przesuwaly się po sylwetkach podskakujących jak „mance” i po wszelkich akcesoriach happeningu. Było w nich też jakieś natężenie i niepokój.

— Proszę pana, barszczyk podać już, czy będzie jeszcze czas?

Cokoła krytycznie rozejrzał się po otoczeniu.

— Jeszcze chwilę, pani Sałacińska. Za wolno pija.

Zrozumiała, że to żart, uśmiechnęła się skąpo nie rozchylając warg. Oczy jej nie traćły wyrazu niepokoju i niezdeterminowania.

Porozumieć się ostatecznie wzrokiem i starowina, jak schudna myszka, przemknęła w stronę kuchni, skąd napływały prawdziwie lechące podniebienie aromaty barszczu na grzybach i bigosu. Cokoła dyskretnie skinał ku narzeczonej.

— Możesz pomóc Sałacińskiej? Teraz, przy barszczyku i później przy kawie. Zrobisz to tak ładnie i zrezygnuj — przypodobał — a kobiecie będzie lżej.

Odpowiedziała twierdzącym ruchem głowy. Wtedy dodał:

— Niech się wszyscy przyzwyczają, że w tym domu jesteś naprawdę panią.

Powróciła, uśmiechnięta, do tańca z Sonnym, który już porzucił perkusję i bawił się z pozostałymi gośćmi. W miarę kolejek towarzysztwo coraz bardziej widocznie okazywało gospodarzowi uwagę. Płynęły strofki na poczekaniu skomponowanych piosenek na cześć Cokoły, poziomem odpowiadające mniej więcej puchatkowemu mrużankom. Wprawdzie na uroczystości znalazł się najprawdziej szary pisarz, który przebrał już progi KKMP i legitymował się „zedepem”, ale akurat jemu ani światło układanie okoliczności.

Ekspedientka najbardziej reprezentacyjnego w miasteczku sklepu kolonialnego, posiadająca w środowisku rangę trochę powyżej polonistki, a zaledwie nieco poniżej głównego ekonomisty z „Kmicica”, zaszczepiała do Cokoły:

— Proszę pana, jestem zachwycona. Tak u pana dzwienie i ładnie. Nigdzie się tak nie bawili. I nie uśmiechali. Czy to prawdziwy wernisaż?

— Właściwy wernisaż zacznie się dopiero nad ranem, a obraz będzie jeden.

— Tylko jeden? Ojej, a mnie mąż obiecał, że jak mi się co spodoba, to kupimy do sypialki.

Na szczęście dobry humor nie opuszczał artysty. Szczębiot pani Danusi tylko go rozbawił.

— Obawiam się, że mój obraz trochę zbyt jaskrawy do sypialki. Ale, jak zrobię coś tak więcej w różowym odcieniu, to nie omieszkałam powiadomić szanownego małżonka.

Pani Danusia ślicznie się uśmiechnęła i jej zrezygnowanie zaodduowana główka zniknęła za potężnym torsem nowego partnera. Nie narzekała na brak powodzenia, każdy chciał sobie wyskakać tę odrobinę szynki czy tańszy koniak spod lady.

Nie był to jedyny zabawny incydent tego wieczoru. Na ogół jednak program wypełniały niespodzianki przygotowane przez jego projektanta. Wprawdzie pod naciskiem gości Cokoła musiał wyciągnąć taśmę z najnowszymi nagraniami i towarzysztwo, rozbite na grupki, rozkołysało się w monotonnych bluesach. Główny trzon pomysłu i zamierzeń pozostał. Happening, a przynajmniej jego zarys, ukształtował się jeszcze w latach dla artysty „chudych”, zaraz po opuszczeniu uczelni. W miarę lat nabierał coraz nowych barw i zmieniały się w zamiśle jego rekwiizyty. Jedno przetrwało — miał zadziwić i ukontentować.

Po konsultacji z profesorem, który obraz jego ocenił wysoko, poczuł się niemal zwycięzca konkursu. Zrozumiał, że pora do realizacji nawet tak płochych planów. Ponieważ kontakt z uczelnią nigdy nie stracił, koledy pracujący na niej podesłali mu znajomych studentów. Przebywali na kilku wspólnych plenerach, teraz zjechali ochotnie, aby pomóc koleżce i nadać happeningowi swoistego malowniczego koloru. Aż ręce zacierała na swoją bombową niespodziankę. Tę o północy.

Bo w gruncie rzeczy Grażyna miała rację, był on w dużym stopniu dorosłym dzieckiem. Bał się trochę szoku u narzeczonej, ale pragnienie figla przeważało. Zresztą nie starczyłoby czasu na honorowe cofnięcie pomysłu. Stanowczo zbyt późno na refleksję. W gruncie rzeczy wszystko jest zgola niewinne. Tyle lat pracował cichutko, skromnie, trochę hałasu wokół artysty jeszcze nigdy nie zaszczepił.

Grażyna, trochę zmęczona zajęciem w kuchni, podeszła do dumającego Tadeusza. Jak mała dziewczynka zasłoniła mu oczy palcami.

— O, jesteś! Moja najśliczniejsza.

Wciągnął ją w krag tańczących, przytulił gorąco, serdecznie.

— Grażyna — powiedział z wahaniem, wahaniami aż śmiesznym udojrzałego mężczyzny. — Grażyna, ja zrobię taki mały towarzyski szkic. Moja żona, najmiłsza, tylko się nie gniewaj!

Jej uśmiech był szczery, zaraźliwy.

— Ty niemądry, widzę, że moja obecność w tym domu staje się naprawdę niezbędna. Jeśli tak się strachasz. Dziś pozwalam ci na wszelkie wysoki.

Ucałował bardzo delikatnie różowe, nie pociągnięte żadną szminką usta narzeczonej. W miarę upływających godzin coraz częściej spoglądała na zegarek. Spojrzała błagalnie na Sonnego. Ten bawił właśnie sympatyczną malarce, zrozumił jednak porozumiewawcze mruganie i podszedł do perkusji, przeprosiwszy partnerkę.

Rozległ się ogłuszający tusz. Było to szczytowe wystąpienie muzyczne czarnego studenta medycyny. Zebra-

ni zwrócili się posłusznie ku gospodarzowi. Sciszone magnetofon.

— Szanowni i kochani — powiedział Cokoła. — Obiecałem niespodziankę i nie mogę się okazać złośliwym. Zaraz moja narzeczone, w niedalekiej przyszłości pani tego domostwa, przygotowuje z naszą niezrównaną panią Sałacińską kawę. Brawo dla pani Sałacińskiej.

Humory dopisywały. Gromkie oklaski skwitowały apel gospodarza. Z kuchni wyrzła rozgrzana, dobrudyszna twarz staruszki.

— Kochani, w momencie, gdy nasze panie roznieśli kawę, a każdy otrzymał porcję tortu upieczonego przez moją gospodynię, ja — jako organizator imprezy — obiecuję dodatkowy smakołyk na wety. Także z rodzaju tortowatych...

Grażyna, sama nieco powodowana ciekawością, przy pomocy studentek szybko roznieśli parujące filiżanki. Goście nie zaczęli jeść tortu, zaledwie kilka osób musnęło czekoladową masę widelczykami. Wyobraźnię ich podniecała obiecana niespodzianka. Kiedy ostatnią filiżankę przyniesiono z kuchni i wręczono niecierpliwie czekającemu gościowi, Cokoła znów zwrócił się do zebranych:

— Drodzy przyjaciele, na pięć minut zgasię światło.

Pokój zaległ ciemnością. Grube, linałe zasłony nie przepuszczały nawet światła latarni z zewnątrz. W napięciu oczekiwania goście Cokoły zamilkli. Szeptali tylko studenci, jak się później okazało, przypuszczeni do tajemnicy. Coś nagle zaskrzypiało, jakby do pokoju wtoczono średniowieczną machinę obłąkacza. Ktoś nerwowo zakasłał. Nagle tę wygraną przez aranzera ciszę przerwał głuchy łomot upadającego ciała. Zebrani usłyszeli czyjś jęk i okrzyk przechodzący w zduszony charkot. Któryś z mniej opłanowanych gości, nie czekając sygnału, wyznał kontakt.

Rozbłysły wszystkie żarówki ozdobnego żyrandola. W pobliżu drzwi od pracowni stała atrapa tortu, olbrzymiego tortu przeniesionego żywcem z amerykańskich filmów o gangsterach. Właśnie wieczko różowej budowl uniosło się w górę, dziewczyna w stroju Ewy wychynęła z rzekomego dzieła cukierskiego kunsztu; była rzeczywiście bardzo ładna, modelka w jednej z plastycznych uczelni. Zgodziła się po koleżeńsku wystąpić w zaplanowanym przez malarza happeningu.

Nikt jednak nie patrzył na nią, nawet nie analizowano atrakcyjnej nagości. Spojrzała i ona w kierunku podłogi, gdzie koncentrował się wzrok większości zebranych w pokoju. Tam, w beznadziejnie połamanej, leżał bohater wieczoru — Cokoła. Nad jego plecami wystawał wielki, poniemiecki bagnet. Jeden z eksponatów hobbystycznego zainteresowania artysty. Miał dość ładny zbiór broni.

Pierwsza krzyknęła nieznajoma dziewczyna „z tortu”. Jeden ze studentów, jak zahipnotyzowany, zdjął marynarkę i podał jej bez słowa, zaczęła się nieporadnie osłaniać. Do leżącego podbiegła Grażyna.

— Tadziś, kochanie moje!...

Był to krzyk rozpacz, niedowierzania. Spod ciała mężczyzny wypłynęła ciemna, nierówna plama.

— Boże mój — jęknęła znów dziewczyna.

Dotknęła marynarki na plecach Cokoły, podniosła się i odwróciła do gości różne, przerażające opowiedziane spojrzenie.

— Proszę, żeby nikt nie ruszał i nie próbował opuścić mieszkania. Dzwonię do Komendy.

(Fragment większej całości)

KRYTYKA LITERACKA

JERZY PORADECKI

POWRÓT ALEGORII

Bardzo staroświeckie motto wybrał Andrzej Biskupski do swojego nowego tomiku „Wspólnota”; „...wierzę, że prawda w każdej sprawie na końcu i na dobre wyjdzie, choćby na razie była przykra, bolesna, ciężka i mało do prawdy podobna” (Władysław Witwicki). W czasach, gdy nauki humanistyczne w gruncie rzeczy zrezygnowały z używania pojęcia prawdy, lub też je tak podesfiniowały, że stała się właściwie narzędziem propagandy, gdy przestawiają nam interpretację, jakże powoływać się na pocziw prawdę, która jak oliwa zawsze na wierzch wypływa?

Motto jednak wybrane zostało bardzo starannie. Uważniejsza jego lektura odsłania powiązania wartości z wiarą oraz pragmatyzm moralisty traktujący prawdę jako bezwzględnie wartości uczulającą tego, kto ją przyjmuje. Elementy wiary i pragmatyzmu, które dzisiaj chcąc nie chcąc musimy wyciągać z tekstu Witwickiego, podważają tendencje absolutyzowania prawdy jako wartości, jednocześnie ją utwierdzają poprzez swoistą myśl krytyczną, odkrywając mechanizmy naszego preferowania jej jako wartości. Sformułowanie Witwickiego jest zarazem historyczne (choćby przez swoją stylistykę) i uniwersalne, bowiem skie-

rowuje człowieka ku absolutowi.

Współgranie motta i wierszy stwarza bardzo swoistą sytuację lekturową. Kto i co czyta — można zapytać. Najciekawszym fenomenem ostatniego tomiku Biskupskiego jest właśnie przedstawienie sytuacji odbiorcy i nadawcy w procesie literackim. Poeta interweniuje dość brutalnie w lingwistyczny schemat komunikacji literackiej, który zwykły wyróżniał trzy składniki owego procesu: nadawcę, komunikat i odbiorcę; „Co ja mam chcieć od czytelnika, skoro czytelnik niczego nie chce ode mnie”. Po tym pytaniu taki model dzieła nagle zawisa w próżni. Dwa pierwsze człony, pozbawione trzeciego po prostu nie mają sensu. Literatura więc, należało by powiedzieć, nie jest procesem komunikacji, choć pozostaje znakiem.

Łatwo stwierdzić, że jesteśmy bliżej hermeneutyki niż lingwistyki. Znak nie przestaje być znakiem, nawet wtedy, gdy nie jest odbierany, gdy nie dochodzi do procesu komunikacji. Nie myślimy jednak, że poeta bez czytelników jest postacią albo tylko tragiczną albo tylko śmieszną. Człowiek poznaje samego siebie

— co mu umożliwia bycie moralnym — analizując własne czyny. Czy to mało dla poety, analizując własne wiersze poznawać samego siebie?

Szaletstwo wyjaśniania opanowało literaturonaukę i nauki o człowieku już od ponad stu lat. Nikt nie wierzy, by poeta mówił po prostu to, co mówi. Każdy doszukuje się w jego wierszach głębszego sensu. Możemy sobie z tego pokpiwać, niemniej zachowanie w tej sytuacji tzw. zdrowego rozsądku nie jest możliwe „prawda nie leży pośrodku — pisze Biskupski. — Ale i szaleństwo nie jest to, by je przeżywać jako w: obrazem”.

Doprowadzamy rozumowanie do końca i analizujemy Biskupskiego jako czytelnika. Zapisany przebieg procesu lektury odnajdujemy nie tylko w tak oczywistych tekstach jak „Sokrates”, „Francis Villon”. „Do publiczności”, „Ojczyzna”. „Prawdziwe oblicze świata”. Biskupski czyta nie tylko książki — cały świat jest dla niego pełen znaków i symboli. Również jego osobowość jako poety. Trudno byłoby powiedzieć, że jest tutaj choćby trochę oryginalny. Wszyscy na co dzień uprawiamy swoistą alegorezę

(poszukiwanie głębszego znaczenia poza znaczeniem dosłownym — patrz choćby „Słownik terminów literackich”) wskazując plakatem na dziecięciopiętrowy blok mieszkalny, jako symbol sukcesów socjalizmu, na sputnik jako widomy znak postępu technicznego, na młot w pięści jako wyraz siły klasy robotniczej. Szuka alegorii wyraźnie wypiera sztukę symbolu. Nie oparli się jej realizatorzy serialu telewizyjnego o dyktorach, podobnie jak i wcześniej, choć nieco inaczej, wprowadzali alegorie do swoich dzieł tacy pisarze jak F. Kafka, S. Beckett, E. Ionesco. Trudno wywnioskować owo głębsze znaczenie. Cała umiejętność zaczyna polegać na tym, by dzieło sztuki nie było prostym równaniem z jedną niewiadomą, by owo głębsze znaczenie nie rzucało się bardziej w oczy niż znaczenie dosłowne, by sens nie przesłonił istnienia. Więc Biskupski powiedział: „O, tym, co daje się jasno powiedzieć, nie warto mówić wcale”.

Można w końcu zapytać: czymże jest poeta bez czytelników, który tak często używa w wierszach zaimki ty. Znamienne są dwie cytaty:

WITOLD NAWROCKI

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ POLITYCZNA

Polska powieść polityczna zawsze z upodobaniem zajmowała się „kuchnią i alkową” życia politycznego, ośrodkiem najwyższego wtajemniczenia, decydującym o strategii i taktyce ruchu. Powieści Kaden Bandrowskiego, ukazującego kręgi polityków jako groteskowo-prerażającą menażerię ludzką, psychologizujące „Węzły życia” Zofii Nalkowskiej czy jej wcześniejszy „Romans Teresy Hennert”, stoją u początków nurtu współczesnego, który u swych podstaw ma przede wszystkim powieści Jerzego Putramenta, „Wrzesień” i „Małowierni”, a w ostatnich latach powieści Zbigniewa Safjana „Pole nicyzje” oraz Lesława Bartelskiego „Krwawe skrzydła”. I rzecz ciekawa — prawda historyczna tych powieści jest niejako odwrotnie proporcjonalna do ich dystansu czasowego: wszystko, co dalej i głębiej położone w historii — przestrzeni rysuje się wyraziście i bardziej precyzyjnie, co bliżej ukazuje zaledwie kontury, główne zarysy wydarzeń politycznych i ich bohaterów.

Los polityczny elity sanacyjnej, proces alienacji mieszczańskiej grupy kierowniczej odchodzącej od ideałów patriotycznej i radykalnej młodzieży, doświadczającej satysfakcji, cierpienia i rozczarowań podczas budowania państwa, które nie stało się wspólnotą braterską Polaków, ale zwyczajnym państwem burżuazyjnym, targanym trudniami własnymi czasów, państwem przeżartym intrygą i walką o władzę, wpisany został w wiedzę historyczną o czasie już przewyższonym i zamkniętym. W związku z tym degenaracja jednych, obójstwo innych, atrywizm i egoizm drugich, rozpacz i daremność ich uzdrawiania mechanizmami państwowego cząstkowego reformami w leku przed rewolucją działają najsilniej spośród obozu rządzącego, wszystko, co złożyło się na przemianę Ojczyzny w „pole nicyzje” pod „krwawymi skrzydłami” historii ukazane być mogło w ostrym blasku kompletnej wiedzy o procesie historycznym.

Optyka widzenia współczesności jest bardziej skomplikowana: proces dziejowy oglądany z pozycji uczestnika wydarzeń nie rysuje się przed pisarzem, tak wyraziście, jak obszar czasu już intelektualnie przewyższony i oczyszczony z nalożonych indywidualnych uprzedzeń oraz osobistych kontaktów z historią. Tym bardziej gdy dzieje po okresie rozumienia ich jako mechanizmu bezkolizyjnego postępu, jako realizacji żelaznych praw historii redukujących udział jednostek ludzkich w procesie społecznym do wypełniania funkcji przedmiotowych, traktowane — w kategoriach moralistycznych — przeciwnością jednostki historii w sposób właściwy indywidualistycznym teoriom alienacyjnym. To znaczy: człowiek

we wszystkim, co stanowi o jego naturze ludzkiej, o jego wolności i szczęściu, jest przez proces historyczny ograniczany lub redukowany, a jego szanse na wolne kształtowanie i oswajanie świata są znikome. Takie myślenie o historii zdominowało świadomość naszej literatury w połowie lat pięćdziesiątych i stanowiło charakterystyczną reakcję indywidualistyczną na kolektywistyczne widzenie dziejów w okresie poprzednim. Jeśli dawniej historia obiecywała wszystko, teraz nie przyrzekała niczego, jak tylko cierpienie i krzywdę: nowe myślenie o historii było tylko pozorem, odwróceniem poprzedniego schematu i pozostawiało nadal statystyczne.

I to przesądziło o losie polskiej powieści politycznej, o jej perspektywach poznawczych, o moralistycznym pojmowaniu historii poza kategoriami ludzkich działań społecznych, poza kategoriami politycznymi i ideologicznymi. Historia zaczęła stanowić o losie jednostki negatywnie, odbierała mu ufność i pewność, skazywała go na zagładę; przestawała być Wielką Obietnicą, a stała się Molochem żądającym ofiar. Nietrudno dostrzec jak bardzo była zmistyfikowana, w jak znikomym stopniu wnikała w specyfikę działania politycznego i jak bardzo widziała ją poza sferą skomplikowanego ludzkiego doświadczenia; pragnęła przede wszystkim — jak w „Małowiernych” Jerzego Putramenta — ukazać losy ludzkie w kategoriach moralnych.

Polityka oceniana przy pomocy dekalogu zawsze okazuje się brudna i nieczysta, ale przecież wiadomo, iż polityka inspirowana jest innymi racjami niż dobro, krzywda, wierność, lojalność. Jak zresztą każde działanie historyczne, o którym możemy powiedzieć, iż jest celowe, skuteczne, daremne, mijające się z możliwościami, ale przecież nie możemy o nim mówić, iż jest dobre lub złe. Perspektywa moralistycznego osądu górująca w tej powieści nad oceną polityczną sprawia, iż pisarz potrafi nam ukazać serię dramatów ludzkich, ale nie umie ukazać źródeł istotnego i ważnego dramatu historycznego. Pytanie o dogmatyzm, o odchylenie w ruchu robotniczym wymaga od poszukującego odpowiedzi chłodnego i realistycznego stosunku do materii społecznej, do procesu historycznego. Inaczej nie zostanie nie w takiej powieści rozwiązane, nawet problematyka moralnych perypetiów ludzi, ich etycznych dążeń, które pojmowane być mogą nie poprzez moralistyczny protest czy marzenie o utopijnym szczęściu, ale poprzez analizę konkretnej sytuacji społecznej, uwzględniającą ideę zniszczenia zła i nieprawości poprzez zmianę świata.

Pytanie o sens lat pięćdziesiątych nie może być również stawiane z pozycji psychologizacji, jak to czy-

niono w modnych niegdyś powieściach i opowiadaniach. To nie skrzywienia charakterologiczne i psychologiczne, ukształtowane w czasie, kiedy partia walczyła w warunkach konspiracyjnych, spowodowały wypaczenia, nieufność, ostre rozbieżności i różną wiedzę o Polsce, zdobywaną w krajowej konspiracji i za granicą. Na jakość odmiennych doświadczeń ludzi z I Armii i tych w Kraju zwracali uwagę w powieściach z początku lat sześćdziesiątych Zbigniew Safjan („Zanim przemówię”), „Potem nastąpi cisza”) i Wacław Biliński („Los i łut szczęścia”), najtrafniej kolizję wyobrażeń o kraju i narodzie ukazał Władysław Machajek w „Niespokojnym człowieku”, w licznych układach fabularnych, związanych z osobą głównego bohatera, wykazując całą niejednoznaczność i skomplikowanie polskiego losu w czasie okupacji, czego nie może pojąć major Półkiewicz, bezwzględnie tępiący obojczych i ugniatający naród jak ciasto, do stopnia maksymalnej powolności i uległości. Półkiewicz, kosmopolita, stawiający się ponad narodem i poza narodem, traktuje sprawę AK jako podstawę do „walki z polskim nacjonalizmem”.

Nic też dziwnego, iż w polskiej powieści politycznej sprawa akowska stała się problemem — symbolem, kwestią numer jeden w rachunku motywów rozliczenia z przeszłością. Co zresztą nadało polskiej powieści politycznej specyficzny charakter i pośrednio prowadziło do odwrócenia proporcji tego, co ważne w powojennej historii kraju. Doświadczenie jednej generacji, a właściwie tej jej części, która podlegała rozmaitym zbłąkaniom, przesłoniło na długi czas problemy powojennych konfliktów politycznych i zbrojnych z prawicą, sprawy związane z realizacją programu budownictwa socjalistycznego. Przytłoczyło ono bez reszty piśmiennictwo Romana Bratnego, pojawia się w prozie Witolda Zalewskiego, Janusza Krasieńskiego, Eugeniusza Paukowskiego, Stanisława Horaka i innych, ciągle żywe i obolale jako ułamek narodowej tragedii. I nadało polskiej powieści lat sześćdziesiątych swoisty charakter, przesłaniając — co trzeba otwarcie powiedzieć — ten zespół spraw politycznych, który kształtował się w procesie walki o zwycięstwo socjalistycznych racji społecznych i politycznych. Pisał o tych sprawach kiedyś Leon Kruczkowski w „Odwetach” i Władysław Machajek w „Rano przeszedł huragan”, ale ich szersze oświecenie

znajdujemy dopiero w dwu powieściach politycznych z lat niedawnych, analizujących problematykę polityczną w szerszym poglądzie.

Chodzi przede wszystkim o „Osobę” Tadeusza Hołuj, pierwszą powieść współczesną, która opowiada o perypetiach ideowych komunistów, o walce toczącej się w świadomości i na płaszczyźnie teoretycznej w okresie odbudowywania partii komunistycznej w okresie okupacji, likwidowania starych sporów i nowych kompleksów, tworzenia wizji ludowej Ojczyzny, której budowę trzeba było zacząć równoległe z walką z faszyzmem. I chodzi także o kontrowersyjną powieść Władysława Machajki „Czekam na słowo ostatnie”, odsłaniającą w dziejach najnowszych wiele spraw związanych z kształtowaniem linii politycznej lat pięćdziesiątych w perspektywie ideologicznej i politycznej. Bez uwzględnienia realności politycznej i komplikacji politycznych okresu powojennego, sytuacji wewnętrznej w okresie budowy postaw przemysłowego społeczeństwa w latach realizacji planu 6-letniego, kiedy historię zaczynamy traktować jako bezosobowy mechanizm nakreślony rękami tajemniczych i złowieszczych facetów (jak w „Małowiernych” Jerzego Putramenta) pojawiających się wedle zasady deus ex machina, by w duszyczki karierowiczów sączyć jad i przekonywać o konieczności oczyszczenia ruchu przez składanie ofiar na ołtarzu złego boga historii — powieść polityczna staje się zmistyfikowana relacją o społeczności osaczonej, rządzonej przez psychopatów (jak w „Losach”) Romana Bratnego). Tymczasem mechanizm polityczny tworzyli ludzie i wcale nie kierowali się demonicznymi podstępami; realizowali koncepcje polityczne, o których wiemy, iż nie we wszystkich były słuszne i skąd ich błędów określić potrafimy ludzką miarą. Realistycznie, podmiotowo, prawdziwie dramat tamtych czasów ukazał przede wszystkim Leon Kruczkowski w „Szkicach z piekła uczciwych”, sięgając po konkret polityczny i społeczny, ukazując przemiany nie tylko w sferach kierowniczych, ale przede wszystkim w świadomości klasy robotniczej, ludzi, którzy swe obowiązki wobec dziejów zaczęli traktować podmiotowo, zwyciężając w powojennej konfrontacji sił i którzy teren historii uznają za własny, bo zagospodarowany ich pracą, ich wysiłkiem, ich ofiarą.

W prawdziwie ludzkim sensie polityka bowiem nie jest kwestią zajęcia określonego miejsca na drabinie władzy, sprostaną przeciwnościom losu, w celu utrzymania zdobytej pozycji, ani kuszeniem niewinnych przez szatan historii, ani błędnym się w poszukiwaniu prawdziwej szansy i perspektywy, ale przede wszystkim skuteczną działalnością na rzecz wyzwalających się mas, budowaniem podstaw ustrojowych socjalizmu, działaniem na rzecz integrującego się na nowej podstawie społecznej narodu. Przyboje politycznej fali wzbierają na siłę lub słabną, zmieniają się koncepcje sprawowania władzy, ze sceny schodzą ludzie, których wielkość była rzeczywista lub tylko pozorna, a prawdziwym kruszcem okazuje się pozytywny, wymierny jakości społecznych przeobrażeń trud działacza politycznego. Dlatego od „Małowiernych” ważniejsze są „Karabiny” Stanisława Grochowiaka i „Dzień słodki i znowu pierwszy” Ryszarda Liskowackiego, „Pruski mur” Witolda Zalewskiego, w którym rację główną — polityczną i moralną mają nie ci, którzy grają o powrót do pierwszej drużyny pragnącej rozegrać kolejny mecz wedle nowych zasad programowych, ale działacz traktujący politykę jako tworzenie no-

wych i trwałych faktów społeczno-ekonomicznych. I dlatego ważniejsze wydają się w ostatnich latach te powieści, które swe polityczne ambicje wyrażają w próbie ukazania starożytności naszego życia społecznego-politycznego, o jego aktywizacji i ulepszeniu, jak w „Linii” Jerzego Wawrzaka, jak w „Jeszcze miłość” Bogusława Koguta, jak w „Wypadku” Wacława Bilińskiego czy „Odysei, odysei” Mariana Grześczaka.

Powieści te mianowicie punktem wyjścia czynią zasadę uczciwego, wydanego, aktywnego życia. Życia bogatego w cele pozaindywidualne, prawdziwie społeczne, to znaczy mające na uwadze interesy zbiorowości, jej spokój, szczęście, dostatek. W imię tak pojętego dobra wspólnoty bohater „Linii” walczy z małomiejską kliką i stara się ocalić swe prawo do szczęścia i miłości. Bohater „Jeszcze miłości” stara się pojąć komplikacje polityczne, które stawiają go w obliczu problemów politycznych, wyrażających się zbrojnym konfliktem z władzą ludową młodzieży i mas. Przez pryzmat młodzieńczej wrażliwości i konfrontację dążeń robotników z oporami biurokracji cały ten zespół spraw przepuści Marian Grześczak, stawiając pytanie o to, jak możliwy był konflikt robotników i ludowej władzy, dlaczego ludzie przestali rozumieć głos klasy, która jest podmiotem dziejów. O powstawanie mechanizmu kolizji pomiędzy pragnieniami ludu a programem politycznym pytał będzie również Wacław Biliński w „Wypadku” ukazując sprawę rozbieżności dialektycznej i w pełnej komplikacji. Pragnienia mas rosną szybko, nie do złagodzenia ich zaspokojenia wedle ustalonego programu, jeśli ośrodek dyspozycyjny przestanie się nimi liczyć i nie zechce ich zrozumieć, dojdzie do nieuchronnego do gwałtownego starcia interesów i argumentów. Racje ludu zmieniają się szybciej niż racje programowe, kto tego nie pojmuje prowadzi do uspienia aktywności ludu, do niecierpliwego oczekiwania na czas jasnych racji i jasnych celów, co tak przejmująco ukazał Bohdan Czeszko w „Powodzi”. Lud jest podmiotem dziejów i lud pragnie modyfikacji programów — zdaje się mówić współczesna powieść polityczna, uzasadniając jego prawo do artykułowania własnych żądań i pragnień. Ukazując równocześnie skutki zgubnych przeobrażeń politycznych, jakie powstają wówczas, kiedy polityka przestaje rozumieć, iż jego wola kształtowania rzeczywistości jest ograniczona, co ukazał tak interesująco Jerzy Putrament w „Baldywie”, lub kiedy nie zda sobie w porę sprawy z tego, iż nad jego aspiracjami niejednokrotnie górze bierze życie potężniejsze i bardziej gwałtowne, niż najsilniejszy imperatyw ideowy czy polityczny, co Jerzy Putrament zdołał ukazać w swej ostatniej powieści, w „Akropolisie”.

Szansa powieści politycznej kryje się przede — jak zdaje się przekonywać najnowsza proza polska — w nowym rozumieniu problematyki jednostki i społeczeństwa, w ukazywaniu dialektyki stosunków pomiędzy masami a ośrodkami kierowniczymi, w ujawnianiu istotnych napięć i tego wszystkiego, co stanowi o dumie i ważności naszego codziennego trudu, o potrzebie jego ochrony przed cudzą nieroztropnością, o potrzebie jego wzmocnienia i unowocześnienia, tak by marksowski ideał „spójnoty” ludzi wolnych i odpowiedzialnych, żyjących demokratycznie i harmonijnie stawał się coraz bliższy. W tym kryje się najpoważniejsze zadanie wychowawcze literatury: objaśnić świat, kategoryzować o nim sądy, uczyć go rozumieć i przekształcać.

KRYTYKA LITERACKA

„Wymienie siebie na dwóch;
w tym siebie na byle-kogo”;
„inni — to w tobie człowiek
obłąkany”.

Wiersze Biskupskiego to w gruncie rzeczy psychomachia, walka ja podmiotowego z ja przedmiotowym. Owe pozory mówienia wprost — to ostra wymiana zdań między tymi dwoma bohaterami. Nie ludźmy się, że jest to rozmowa autora z czytelnikiem — to przedstawienie teatralne, na którym w głównej roli występuje średniowieczny everyman. Alegoryczność wierszy Biskupskiego jest więc, jak w każdej dobrej alegorii, zarazem konkretna i domagająca się poszukiwania owego głębszego znaczenia. Poszukiwania, bowiem podejmując ideę dzieła otwartego Biskupski nie jest twórcą poetyckich szarad, których prawidłowe rozwiązanie jest za góry zaplanowane i jedyne. W stosunku do swoich wierszy jest on w takiej samej sytuacji jak czytelnik — obaj muszą podjąć trud rozumienia.

Teraz dopiero można powiedzieć, że nie jest prawdą, iż poeta nie chce od czytelnika. Istotniejsza jest potrzeba czytelnika niż autora. Za-

znaczony we wcześniejszej cytowanych fragmentach dramat polega na tym, że czytelnik pragnie mówienia o oczywistościach, autor zaś nie uważa za stosowne uprawianie puste gadaniny. Natomiast gdy proponuje czytelnikowi nowe lub mało znane, ten odmawia, nie od autora nie chce.

To jeszcze nie koniec interpretacji jednego zdania: „Co ja mam chcieć od czytelnika, skoro czytelnik niczego nie chce ode mnie”. Czytelnik ma bardzo ograniczoną ilość czasu, który może przeznaczyć na lekturę. Jakże śmieszny byłby autor, który mówi mu: Czytaj mnie, nie Mickiewicza, nie Norwida. Czytelnik więc ma swoje racje nie czytając np. Biskupskiego. Problem polega na tym, że umiejętność rozumienia rozwinięta w sobie tak bardzo, iż potrafimy z najbardziej starych lub egzotycznych tekstów odczytywać prawdy dotyczące nas teraz. Żaden w miarę rozsądny poeta nie odważy się twierdzić, że właśnie on jest w stanie powiedzieć współczesnemu Polakowi więcej o nim samym niż uważna rozumiejąca lektura Kochanowskiego. Tak więc ilość tych, którzy mają coś wa-

żnego do powiedzenia jest tak wielka, z tak różnych czasów i krajów wywodząca się, że współczesny poeta stał się jednym małym kamyczkiem w ogromnej mozaice kultury. Świadomość tego pozwala poecie odzyskać własne człowieczeństwo — w przeciwieństwie do romantycznej prowincjonalności przekonania o „nadczłowieczeństwie” twórcy. W wierszach Biskupskiego poeta pojawia się więc jako jeden z wielu obywateli dyskutujących na rynku ateńskim sprawy państwa — miasta i jak jeden z wielu obywateli kategorycznie przedstawia swój punkt widzenia: „Droga do wspólnoty, która nie dojdzie jednocześnie do siebie, nie interesuje mnie”. Jeżeli nawet jest zakrzyczany przez współobywateli, nie widzi w tym nic urągającego racjom boskim i historycznym. Rozumie tych, którzy go nie chcą wysłuchać. Ba, z tego nawet czerpie swą siłę; „Pamiętaj w chwilach zwątpienia: jest jeszcze ktoś oprócz ciebie — na przykład twój wróg. Gdyby nie on — nie warto byłoby żyć”. Bowiem biologiczne istnienie człowieka jest koniecznym, by w ogóle można było

myśleć o skłanianiu go do poszukiwania pewnych wartości. Memento vivere Musisz być, bo tylko to stwarza nadzieję, że odezwiesz się w tobie potrzeba człowieczeństwa.

Biskupski jest przede wszystkim moralistą. Uprawianie poezji jest dla niego wtórne. Poeta jest dlatego, że właśnie wiersz, nie tylko jego zdaniem, zdolny jest unieść ciężar problematyki moralnej w naszych czasach. Ucieczka do alegorii jest koniecznym następstwem skompromitowania wszelkiego bezpośredniego moralizowania. Moralność jest możliwa tylko w indywidualnym stosunku jednostki do spraw i wartości. Decyzję o charakterze etycznym musi poprzedzać proces rozumienia, docierania do sensu, poczucia własnej odpowiedzialności. Stąd też żaden dekalog dzisiaj nie jest możliwy, bowiem eliminuje proces rozumienia i wyboru. Literatura nie może podpowiadać i nakazywać — może jedynie nakłaniać do myślenia nie krępując go w niczym. Dlatego nie może być dosłowna. Musi wskazywać na istnienie tajemniczego głębszego sensu, bowiem „Człowiek, żeby móc nawiązać kon-

takt z samym sobą, musi posłużyć się „pośrednictwem”.

A poeta...

„Są naszym głosem wewnętrznym, dopominają się, radzą. Mówią nam o nas najchętniej jako o sobie i o tym, że dla nas — śmiertelników zwyczajnych — pozostać musi dostępne jedynie niebo historii. (...)”

Który po prostu jest — jak wzgórze, ptak i obłok. Który jest samo sobie piekłem”.

Stąd też wiersz zwykły po prostu jest, jak wzgórze, ptak i obłok. I jak wzgórze, ptak i obłok, może stać się znakiem sugerującym istnienie głębszych sensów. Ale to już zależy od tego, czy czytelnik zechce poszukiwać owego głębszego znaczenia.

Brak już miejsca na analizę ważniejszych motywów wierszy Biskupskiego. Analiza ta byłaby zresztą poszukiwaniem owych głębszych znaczeń. Niechże więc i krytyk pozostawi czytelnikowi wolność w ich poszukiwaniu.

Andrzej Biskupski, Wspólnota. Łódź 1976. Wydawnictwo Łódzkie.



Foto: W. Parys

ZBIGNIEW S. NOWAK

GRA O 30 MILIARDÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Sprawom tym, jak pamiętamy, było poświęcone II Plenum KC PZPR, koncentrujące uwagę na określeniu i przygotowaniu warunków do pomyślnego wykonania zadań w obecnym pięcioleciu, przy optymalnym wykorzystaniu środków we wszystkich dziedzinach gospodarki i na wszystkich szczeblach zarządzania. Postawiono na jakość pracy — główne źródło rezerw. By osiągnąć zamierzony wzrost produkcji przemysłowej o 50 proc., założono, że wydajność pracy powinna wzrosnąć o 43—45 proc. w stosunku do stanu z 1975 r., a udział wydajności pracy we wzroście produkcji przemysłowej winien przekroczyć 90 proc. Pełna realizacja owych zamierzeń pozwoliłaby na uzyskanie w obecnej pięciolatce dochodu narodowego o 40—42 proc. wyższego niż w analogicznym okresie poprzednim. Cele ambitne, ale jak je osiągnąć?

Jednym z czynników warunkujących szybką realizację zamierzeń w

zakresie pełnego wykorzystania zasobów produkcyjnych, majątku trwałego, oszczędności surowców i materiałów, a w efekcie wzrost wydajności pracy i poprawę jej jakości, jest wynalazczość pracownicza.

Oto trochę statystyki. W pięcioleciu 1971—75 w Polsce zgłoszono 1.394 tys. projektów wynalazczych, z których 785 tys. zastosowano w produkcji. Efekty ekonomiczne z tego tytułu okazały się znaczne (dwukrotnie większe niż w latach 1966—70) i wyniosły ponad 62 miliardy zł! To licząca się w budżecie narodowym suma. Dlatego też VII Zjazd PZPR i II Plenum KC postawiły przed ruchem wynalazczym bardzo poważne zadania, wyższe niż kiedykolwiek dotychczas. Jak przebiega ich realizacja?

W kraju istnieje około 5.500 zakładowych klubów techniki i racjonalizacji, działających społecznie. W ubiegłym roku, a więc w pierwszym roku obecnej pięciolatki, ich członkowie zgłosili około 240 tys. projektów, z których wdrożono do produkcji ponad 170 tys. W wyniku tego uzyskano efekty ekonomiczne w granicach 19 miliardów zł. Dużo to czy

malo? Daje się zauważyć, że sprawność, efektywność projektów wynalazczych znacznie wzrosła w porównaniu z odpowiednim okresem poprzedniego pięciolecia, relatywnie zwiększyła się też liczba wdrożeń. Niepokoi natomiast spadek liczby zgłoszeń, wynoszący mniej więcej 8 proc. w skali półrocznej, jeśli wziąć pod uwagę ubiegły rok i pierwszą połowę br. Niepokoi tym bardziej, że symptomy tego zjawiska można zaobserwować w całym kraju, nie tylko w poszczególnych regionach.

Przypomnijmy, że na II Plenum KC PZPR wyraźnie podkreślono wagę i znaczenie dla naszej gospodarki rozwiązań wynalazczych, podnoszących jakość i nowoczesność wyrobów przemysłowych, zwiększających ich konkurencyjność zwłaszcza na rynkach zagranicznych, pozwalających ograniczyć import drogich artykułów i intensyfikujących wielkoprzemysłowe procesy produkcyjne. Podkreślono także, iż działalność wynalazcza jest obecnie najważniejszym czynnikiem tzw. bezinwestycyjnego wprowadzania postępu technicznego w naszej gospodarce.

Warto tutaj zaznaczyć, że jeśli

nawet finansuje się wynalazczość, to z ogromnymi korzyściami, bowiem każda wydana na ten cel złotówka przynosi 6-8 zł zysku; efekty są tu więc znacznie większe niż w przypadku tzw. klasycznych inwestycji gospodarczych. Oczywiście jest zatem, że im większe ożywienie w ruchu wynalazczym, tym znaczniejsze korzyści dla naszej gospodarki. Czy jednak jest to oczywiste dla wszystkich? Chyba nie, bo jak już zaznaczyłem, nie jest najlepiej z tą wynalazczością.

Jak jest w istocie, spróbujmy zobaczyć na przykładzie województwa łódzkiego.

O wypowiedź na ten temat poprosiłem Sekretarza Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji w Łodzi, WACŁAWA KULPINSKIEGO:

— Liczba projektów wynalazczych zgłoszonych w województwie łódzkim w ubiegłym roku wyniosła 12.492, co dało nam w skali kraju trzecie miejsce, po woj. katowickim i warszawskim. Wyprzedziłyśmy natomiast woj. krakowskie, gdańskie, wrocławskie, poznańskie, będące przecież silnymi ośrodkami. Do produkcji wdrożono 8.244 projekty, co pozwoliło uzyskać efekty ekonomiczne z tytułu poprawy jakości produkcji, wzrostu jej wydajności, oszczędności surowców, materiałów i robocizny na łączną sumę przeszło 700 mln zł, co daje przeciętnie 85 tys. zł efektów na jeden wdrożony projekt. Zważywszy, że każdy projekt „pracuje” zwykle 4 lata, póki nie zastąpi go nowocześniejsze rozwiązanie, łatwo obliczyć, iż łączne korzyści z wdrożeń w zakładach woj. łódzkiego w ubiegłym roku projektów zamkną się sumą prawie 3 miliardów zł.

— Część projektów wykorzystywana jest nie tylko w zakładach macierzystym, ale i wielu pokrewnych. W takich przypadkach korzyści są chyba odpowiednio większe?

— Problem rozpowszechniania projektów jest szczególnie dla nas interesujący. W ubiegłym roku takich projektów mieliśmy 210, co stanowi 2,5 proc. ogółu projektów wdrożonych. Natomiast efekty z projektów rozpowszechnianych okazały się stosunkowo większe i wnosły średnio 177 tys. zł na jeden taki projekt, co dało w sumie 5,3 proc. efektów globalnych. Oczywiście w im większej liczbie zakładów wdraża się dany projekt, tym większe są korzyści.

— Nie wszystkie korzyści można wylizywać w złotych, np. w przypadku projektów dotyczących poprawy warunków pracy, bezpieczeństwa...

— Tak, a przecież są one niezmierznie ważne. Chociaż to trudno obliczyć, ale tego typu projekty, także przyczyniają się w dużym stopniu, acz pośrednio, do podniesienia wydajności pracy, poprawy jej jakości. Projektów zwanych „behapowskimi” złożono u nas w ubiegłym roku 2234.

— Nie wszystkie zgłaszane projekty są realizowane. Zatem osiągnięte obecnie efekty wdrożeniowe są w rezultacie mniejsze od potencjalnie możliwych...

— Tak i to znacznie. Przeciętnie realizuje się około 2/3 ogółu zgłaszanych projektów. Prosty rachunek pokazuje, że w roku ubiegłym tylko w skali woj. łódzkiego zyski mogłyby być większe o prawie 366 mln zł, oczywiście w wypadku realizacji wszystkich zgłoszonych projektów, czy prawie wszystkich. Wydaje się, że w skali kraju owa suma wyniosła mniej więcej 8 miliardów zł! To tylko w ciągu jednego roku, a przecież żywotność projektu sięga około 4 lat...

— Mówimy tu o żywotności potencjalnej, gdy wdrożenie projektu następuje możliwie szybko. Często jednak okres realizacji przedłuża się...

— To jest bardzo poważny problem. Przyjmijmy dla łatwiejszego rachunku, że opóźnienia realizacji projektu wynoszą średnio 1 rok. Projekt wdrożony o rok później zwykle „pracuje” też o rok krócej, ponieważ technicznie się starzeje. Gdyby za podstawę obliczeń wziąć wielkość określającą efekty wdrożeniowe w ubiegłym roku i przyjąć owo roczne opóźnienie w realizacji projektów, to okazałoby się, że w skali woj. łódzkiego straciłoby co najmniej 700 mln zł, a w skali kraju ten potencjał, ale utracony roczny zysk to 19 miliardów zł, no bo przecież projekty będą „pracować” o rok krócej! Podzielmy to przez 4, bo tyle lat wynosi średnio okres żywotności projektów, wówczas straty roczne sięgają odpowiednio w skali woj. łódzkiego 175 mln zł, a w skali kraju 4,75 mld zł! Nazywam to stratami, bo przecież nie uzyskane efekty to jednak straty.

— Są to poważne kwoty. Jak można temu zapobiec?

— Aby poprawić sytuację i zdopinguć zakłady do szybszego wdrażania projektów, swego czasu WKTiR w Łodzi ogłosił konkurs na najlepszą metodę szybkiego wdrażania, pod hasłem: „Edisonom klody spod nóg”. Zgłoszono wiele pomysłów.

Najlepsze okazało się rozwiązanie zaproponowane przez ZKTiR przy ZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex” w Łodzi, a polegające na organizowaniu przetargów na najkrótszy termin realizacji projektów, w oparciu o nagrody jakie przysługują z tytułu prawa wynalazczego za szybkie wdrożenie. Metoda ta została zaakceptowana i już zastosowana przez wiele zakładów, tak że dzięki temu we wdrażaniu osiągnięliśmy wyniki lepsze niż średnio w kraju. Zwiększyła się też w tych zakładach liczba wdrożeń.

— Powróćmy jeszcze do problemu rozpowszechniania projektów, także oczekującego rozwiązania...

— Właśnie w WKTiR w Łodzi powstał zamiysł rozpowszechniania w trybie działań społecznych i powołania w tym celu w WKTiR tzw. Banku Projektów Wynalazczych. Projekty będą napływać do nas z zakładów, następnie zostaną złożone do klubowej kartoteki na specjalnych kartach perforowanych, co ułatwi nam szybkie operowanie nimi. Z kolei odpowiednio opracowane kserokopie gromadzonych u nas projektów będziemy wysyłać do różnych zakładów, w charakterze ofert do ewentualnego wykorzystania.

— Ostatnio dają się zauważyć tendencje spadkowe, jeśli idzie o liczbę zgłoszeń projektów.

— Tak, jest to zjawisko, które nas bardzo niepokoi. Cóż, po prostu wiele zależy od klimatu, jaki stwarza się racjonalizatorom w poszczególnych zakładach. Ten rodzaj twórczości technicznej jest bardzo wrażliwy na jakiegokolwiek „anomalie klimatyczne”. Jeśli mowa o czynnikach hamujących rozwój ruchu wynalazczego, można wymienić następujące: bierny stosunek pracowników przedsiębiorstw do rozwiązań racjonalizatorskich, istnienie zawsze pewnego ryzyka przy podjęciu przez przedsiębiorstwo realizacji projektu, nieodpowiednia, słaba organizacja ruchu wynalazczego, niska niekiedy jakość projektów i w efekcie kłopoty z ich wdrożeniem, wreszcie wadliwie ustalone lub źle stosowane bodźce ekonomiczne.

— Jak wygląda aktualna sytuacja w woj. łódzkim, jeśli idzie o zgłoszenia i realizację projektów?

— Bardzo różnie. W 30 zakładach zrobiliśmy kontrolne porównanie wyników pierwszej połowy br. z analogicznym okresem roku ubiegłego. Co się okazało? Wprawdzie liczba zgłoszonych projektów nawet wzrosła ogólnie o 5 proc., ale liczba wdrożeń spadła o 6 proc. A oto kilka przykładów szczegółowych. W Łódzkiej Fabryce Maszyn Jedwabniczych „Majed” zanotowano wzrost zgłoszeń o 42 proc. a wdrożeń — o 62 proc. W ZPB „Uniontex” wzrost wynosi odpowiednio 26 proc. i 23 proc. Natomiast w ZPD „Marko” mamy spadek zgłoszeń o 34 proc. i spadek wdrożeń o 79 proc., zaś w ZTK „Teofilów” spadek o 41 proc. liczby zgłoszeń i o 63 proc. liczby wdrożeń. To jest już sytuacja katastrofalna. Takich „spadkowiczów” mamy wielu...

— Warto tu chyba przypomnieć kierownictwu tych zakładów, o postanowieniach VII Zjazdu PZPR i II Plenum KC, dotyczących znaczenia ruchu wynalazczego dla naszej gospodarki...

— Oczywiście. Takie bowiem przypadki, jak dwa wymienione ostatnio, powodują, że wciąż jeszcze nie mamy z działalności wynalazczej takich korzyści, jakie faktycznie można by osiągnąć. A jak powiedziałem, nie uzyskane korzyści to po prostu straty — inaczej przecież tego nie można nazwać. Nasuwa się pytanie, czy nas na to stać?

— Właśnie! Spróbujmy obliczyć, ile wynoszą owe straty w skali roku...

— Tylko w naszym województwie mamy 366 mln zł strat z tytułu niewdrożenia znacznej liczby zgłoszonych projektów, z opóźnień wdrożeniowych — 700 mln strat, do tego dodajmy jeszcze słabe rozpowszechnienie projektów poza zakłady macierzyste i tendencje spadkowe liczby zgłoszeń, to wyniesie w sumie około 1,1 mld zł. W skali całego kraju suma ta może sięgać 30 miliardów zł! To kwota ogromna. O tyle właśnie efektów ekonomicznych więcej można by uzyskać rocznie, gdyby udało się „usunąć klody spod nóg” naszym Edisonom. Wydaje się, że „gra” o 30 miliardów zł jest chyba warta przysługującej „świeczki”!

Nie dodać, nie ująć. Pozostaje tylko jeszcze pytanie, kiedy rozpoczniemy na serio ową „grę”? o bardzo wysoką przecież stawkę? Oby jak najprędzej! To bardzo ważna dla nas wszystkich sprawa, nasz wspólny interes!



Foto: A. Wójcik

GRANICA

Dalszy ciąg ze str. 1

Zerka bojaźliwie na pustą patelnię po jajecznicę i, wzruszając wątlimi ramionami, szepcze:

— Ja tam nie wiem. Żadnych świadków nie było. A tata z mamą pojechali na pogrzeb i późno wrócą. Ja nie powiem.

— Kaźmierczyk mieszka od frontu? Wykrzywił wargi w podkówkę, wtulił głowę w ramiona.

— Mhm — szepnęła. — Ale on przeciw nam. Tata mnie jeszcze zleje...

— Za co?

— Ze powiedziałam, gdzie mieszka...

W jej twarzy ujrzano lek. Pragnęła, abym jak najszybciej opuścił

izbę. A ten sąsiad mieszka za ścianą. Jasny gwint, w co tu jest grane?

1.

W Łaznowskiej Woli było duże gospodarstwo poniemieckie. Ziemia leżała odłogiem, ale kiedy założono spółdzielnię produkcyjną, do jednego z dwóch obelg wprowadził się jako członek, dopiero co ożeniony Zdzisław Kaźmierczyk. W roku 1957 spółdzielnia została rozwiązana. Nie wypadało, aby w tak wielkim obelgu i obszernym domu „rezydował” kulak albo po staremu „bauer”, bo budynków inwentarskich też było tyle, co w małym dworku. I dlatego w roku 1957 połowę domu i budynków inwentarskich zajął wraz z rodziną Władysław Jaśkiewicz. Życie płynęło zgodnie, bez zgrzy-

tów, każdy z rolników gospodarował na pięciogektarowej działce. Późniejsze niesnaski wyniknęły chyba z niejasności w akcie własności. Zaznaczono tam, iż budynki należą się, po połowie, obu gospodarzom. Były więc wspólną własnością, ale bez wyszczególnienia, co się komu prawnie należy. I to był początek całego galimatiasu i waśni.

W roku 1974, po siedemnastu latach dobrosąsiedzkiego współżycia, nastąpił spór w sprawie użytkowania budynków.

11 marca 1974 roku przed społeczną Komisją Pojednawczą w Rokicinach doszło do pojednania. Zważając na to, że obaj gospodarze zgadzają się, aby wszystkie budynki, czyli obora z wozownią i piwnica, znajdujące się po stronie Władysława

Jaśkiewicza, z dniem 15 marca 1974 roku pozostały w użytkowaniu Jaśkiewicza, natomiast sąsiad Zdzisław Kaźmierczyk będzie użytkownikiem chlewni i spichlerza z piwnicą, które znajdują się po jego stronie. Jednocześnie Kaźmierczyk za użytkowanie połowy chlewni zobowiązuje się kupić dla Jaśkiewicza 8 tys. sztuk czerwonej cegły i jeden metr sześcienny drewna, ponieważ wartość budynków pozostających po stronie Kaźmierczyka przewyższa o cenę wyżej wymienionych materiałów budowlanych wartość budynków pozostających po stronie Jaśkiewicza. Kaźmierczyk swoją powinność wypełnił i przywiózł przyręczone materiały. Ale już wtedy zaczęły się spłęcia i procesy sądowe. — Nie chciał, głupek, poświadczyć, że mu zwiozłem tę cegłę i drewno...

2.

Z wypowiedzi Jaśkiewicza:

— Na remont obory i wozowni wydałem 60 tys. złotych. W tym samym czasie, gdy remontowałem oborę, Zdzisław Kaźmierczyk dewastował wnętrze chlewni. Rozbijał mury, wyrwał kołce oraz koryta wykonane z ceramiki ze szklistą powłoką, zacierając wszelkie ślady wszystkich dawnych urządzeń, z których pozostał jedynie gruz.

Wchodzę do byłej chlewni. Sterczą resztki kołców. Pomieszczenie zamieniono na letnią izbę i częściowo garaż, stoi tu motocykl.

— Żeby nie chodzić po stronie Jaśkiewicza, wybiłem drzwi na moją stronę we wszystkich budynkach. A tutaj założyłem posadzkę...

— Kto z was jest lepszym rolnikiem?

— Bo ja wiem? — wstrząsa ramionami.

— Ale hoduje pan coś? Niech się pan pochwali.

Rzuca skonsternowane spojrzenie na żonę.

— Co się będę chwalił. Był pan w gminie, to pan wie.

— Jeszcze nie byłem.

— To będzie pan, oni wszystko wyjaśnią — rzucił z niechęcią.

Jaśkiewicz mówił:

— Z mojego gospodarstwa odsprowadzają państwu rocznie około 1500 kg żywności oraz kontraktują 17 q zboża. Kaźmierczyk nie jest zainteresowany pracą w gospodarstwie. Przepadł za alkoholem.

Kaźmierczyk wchodzi do sklepionej łukowatej piwnicy i zapada po kolana w wodzie.

— Wszystko niszczeje, wszystko zalewa woda. Bo jeden ogląda się na drugiego, żaden nie jest pewien swego...

— Chciałam wylać wiaderko wody z piwnicy — przerywa mu Kaźmierczykowa — to Jaśkiewiczowa na mnie z łapami! Gdyby nie sąsiedzi, to nie wiem, jak by się skończyło. Im wszystko wolno a mnie w gminie nikt nie idzie na rękę, nawet gadać ze mną nie chcą...

— Pani zajmuje się gospodarstwem?

— No, nie, ja pracuję w cegielni. — Jak żeś głupia, to nie gadaj — mówi Kaźmierczyk wprowadzając nas do izby. — Przecież zajmujesz się, nie? A w ogóle, proszę pana — zwraca się do mnie — to wszystko poszło o dom. Ten dom jest stary, z kamienia, który kruszeje. Stropy połatane, przegniłe, pan patrzy, jak wszędzie przecieka. Dach ledwie się trzyma. Jak nawali śniegu, to wszystko runie. PZU płaci za wicher, a za śnieg nie płaci. Myśmy chcieli spłacić Jaśkiewicza i wyremontować ten dom, a on, żeby sobie postawił nowy.

Władysław Jaśkiewicz:

— Połowę domu, którą użytkuję, zobowiązałem się rozebrać do końca czerwca 1976 roku, studnia miała pozostać do wspólnego użytku. Chcąc wywiązać się z ugody, postanowiłem pobudować dom mieszkalny na własnym placu, mimo że nie posiadałem gotówki. Dnia 7. XI. 1975 roku otrzymałem plan na budowę domu w granicy działki. W związku z tym zwróciłem się do geodezji w Piotrkowie o rozgraniczenie działki. Odesłano mnie do Gminy w Rokicinach. Tu mi powiedziano, że oni mają na to trzy miesiące czasu i nie muszą się śpieszyć. Termin rozbiórki starego domu upływał, a ja nie miałem się gdzie wprowadzić. Udałem się do wojewody piotrkowskiego, który zlecił Gminie natychmiast rozgraniczyć działkę przez Spółczesną Komisję Pojednawczą. Dnia 16 czerwca 1976 roku nastąpiło rozgraniczenie w obecności Kaźmierczyka, który podpisał zgodę na wytyczoną granicę. Gdy rozpocząłem budowę, Kaźmierczyk zwrócił się do sądu o wstrzymanie budowy, ponieważ działka jest nie-rozgraniczona. 13 lipca 1976 roku sąd wstrzymał budowę. Wcześniej, 5 lipca, sąd wstrzymał mi również rozbiórke połowy domu, ponieważ znajduje się on na działce siedliskowej Kaźmierczyka. Myślałem, że mnie szlag trafi.

Kaźmierczyk wyciągnął ze szpar-galów odręczny odpis wyroku sądo-

wego, numer sprawy 872/76.

— Proszę bardzo — mówi — działka siedliskowa podzielona równo, po 1300 m kw. dla każdego. Zgoda. Ale my chcieliśmy go spłacić, a cały ten stary dom zostawić sobie. Nie było mowy o rozbiórce. Poszło o co innego.

— O co?

— Dostał w gminie plan przed rozgraniczeniem działki. I zaczął budować w granicy. Każdy chłop wie bez sądu, że tak nie wolno. Można stawiać w granicy, ale za zgodą sąsiada. On do mnie nie przyszedł. Na nie reagował, zaczął zalewać cementem fundamenty i postawił kawałek szczytowej ściany. Jakby wyciągnął mury, do moich okien, co wychodzi na południe, nawet promyk słońca by nie zajrzał...

Jaśkiewicz sprawę przedstawia następująco:

— Granica się nie zgadzała Kaźmierczykowi. W tej sprawie przybył 30 lipca Włodzimierz Korzeniowski, biegły sądowy d/s geodezji. Okazało się, że przysługuje mu dodatkowo trzydziestocentymetrowy pas ziemi. Kaźmierczyk wystąpił wówczas o zniesienie współwłasności. Biegły wyliczył wartość budynków. Wyszło, że ten po stronie Kaźmierczyka są wyższe w cenie o 115 tys. złotych od moich. Kaźmierczyk zażądał nowego bieglego. Ten przyjechał pijany i zaczął szukać u mnie grzybów. Spichlerz, którego wartość według PZU wynosi 45 tys. złotych, wycenił jako szopa o wartości 14 tysięcy. Podłogi nie liczył, wpisał ją przy wycenie wozowni, a tam podłogi nie ma. W oborze zauważył ładny tynk, a zarysów i pęknięć nie widział. W sądzie doszło do tego, że Kaźmierczyk ma mi zapłacić za opuszczone budynki i mieszkanie 48.642 zł. Do 1 lipca 1978 roku mam opuścić mieszkanie. Ale na budowę mi nie pozwalają. Mam się wprowadzić pod gołe niebo? Bo w oborze z jedenastoma sztukami świń (w tym trzy prośne maciory) byłoby mi trochę za ciasno. Ciekaw jestem, kto mi zapłaci za gazobeton, drewno, cegłę i osiem ton skamieniałego cementu, które przez dwa lata niszczyją na dworze. Na budowę pobrałem 80 tys. złotych pożyczki, którą już w 1978 roku muszę spłacić. Kto mi zwróci pieniądze na adwokatów oraz za stracony czas?

— Nowa granica — mówi Kaźmierczyk — wyszła trzydzieści centymetrów od postawionej przez Jaśkiewicza ściany. A te 48 tysięcy, to jest spłata za część domu, w której mieszka Jaśkiewicz i którą ma opuścić.

— I z powodu bliskości ściany, tuż przy granicy, pan mł się nie pozwala budować?

Uśmiecha się z zażenowaniem:

— Panie, w Łaznowie sąsiedzi przez dwadzieścia lat się nie odzywali, a gdy przyszło do budowy, to się dogadali. Gdyby przyszedł do mnie, porozmawiał ale nie! Odgrza się i mówi, że to ja do nich muszę przysiąc „w pięć”. Ja go najwyżej mogę spłacić, pieniądze są przygotowane. Ale on twierdzi, że mieszkanie jest jego i wszystko zabierze na swoją działkę. Żeby się, pogodził ze mną, to by tyle forsy nie poszło na sądy. Adwokatów teraz doją...

— No to może się pogodzić?

— Teraz?! — krzyczy Kaźmierczykowa. — Kiedy za ten gruz, bo to przecież wszystko w ruinie, mamy mu spłacić prawie 50 tysięcy złotych?

— Jak obniży spłatę — oświadcza Kaźmierczyk — to może się budować. Ja tę studnię, co stoi na granicy, jakoś bym zabezpieczył, i niech się buduje. Ale musi załatwić polubownie. Tylko ja w to nie wierzę.

— Dlaczego?

— Bo on różnie na mnie gada. Ze piję, libacje urządzam i bijatyki.

— A ja — wtrąca zięć Kaźmierczyka, który mieszka z teściami — wracam raz z pracy i widzę, że żona siedzi z dzieckiem w łasku. Nie może go uspić, bo u Jaśkiewiczów nastawione na cały regulator radio gra od rana do nocy. Jaśkiewiczowa mówi: „Wolność Tomku w swoim domku”, co wy mi możecie zrobić?

Podczas mojej bytności radio nie grało. Może ze względu na pogrzeb? Ale przecież nie to jest istotne. Nasuwają się gorzkie refleksje. Wskutek sporu o ścianę w granicy ludzie przekroczyli granicę zdrowego rozsądku. Obaj gospodarze mają świadomość straconego czasu, pieniędzy, ale ustąpić nie chcą. Tylko czy osobiste animozje muszą rutować na sprawy ważniejsze, o wyższej randze społecznej? Nie może być obojętne, gdy dwaj ludzie bezmyślnie dewastują budynki, niszczą sprzęt i materiały budowlane. Ten spór o granicę to nie tylko osiem ton skamieniałego cementu. Oderwani od gospodarki, zacietrzewieni w porachunkach sądowych, przestają walczyć, na co nie można pozwolić w czasie, gdy liczy się każdy kilogram mięsa i każdy kłos jest na wagę złota. Myślę, że sprawą tą zajmie się wnikiwie i serdecznie naczelnik gminy w Rokicinach.

RYSZARD BINKOWSKI

TURCY W BERLINIE

W powietrzu unosi się ostry zapach czosnku i smażonych na oleju przypraw. Mężczyźni mają swoiste imiona, najczęściej to Ali lub Sulejman. Mają czarne wąsy pod nosem. To Turcy. Tak jest. Nie widziałem w Republice Federalnej Niemiec ani jednego Turka, który by nie nosił ciemnego wosa. To ich wyróżnik. Po tym się rozpoznają. Jak i po ciemnych włosach i czarnych palających oczach. Kobiety mają kolorowe chusty na głowach. Długo też po kostki nantalony. Istotnie, dziwne to wszystko. Nierozumiejętnie. Niejedna ulica w Zachodnim Berlinie wygląda jak smetane zaulki mieścin w głębokiej Anatolii.

Turcy w Zachodnim Berlinie.

To „Gastarbeiter”, w tłumaczeniu dosłownym, to więc robotnicy gościnnie zaproszeni. Jest ich w Zachodnim Berlinie blisko sto dwadzieścia tysięcy. Tworzą zamknięte getta. Mieszkają w slumsach. Jeden pokój zajmują często dwie rodziny. Żeby było taniej. Bo czynsz mieszkaniowy nigdzie tam nie jest niski. Mieszkają w dawnych drewnianych barakach, które zostały z czasów ostatniej wojny. W tych barakach, o chłodzie i głodzie, trzymano niegdyś ukraińskie dziewczęta, chłopców z Łodzi i Holendrów z Hagl. Dziś do tych dawnych lagrów powpychali się turcy robotnicy. Z rodzinami. Bo w barakach czynsz najniższy.

W okresie gospodarczego eufu, właściwie jeszcze nawet w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, pracowało w RFN dwa miliony sześćset tysięcy Gastarbeiterów z Turcji, Włoch i Jugosławii. Dziś pracuje ich nieco mniej niż dwa miliony. Recesja zrobiła swoje. Przetrzebiła zwarte ongiś zastępy tanich robotników cudzoziemskich, którzy wykonywali najgorsze, najniższe płatne prace. Głównie przy oczyszczaniu miasta, na zapleczu restauracji, w hotelach jako służba, przy drogach jako niewykwalifikowani robotnicy. Kiedyś ich tolerowano. Byli potrzebni. Wykonywali roboty, od których rdzenni obywatele RFN odwracali się z pogardą.

Zmieniło się.

I to gruntownie się zmieniło.

Dziś najchętniej by wysłano wszystkich niemal Gastarbeiterów do wszystkich diabłów. Zabierają nam pracę — słychać na ulicach Zachodniego Berlina — to łobuzy, to „Dreckschweine”, brudne świniuchy, którzy nigdy się nie nauczą żyć kulturalnie i po ludzku. Z pewnym pobłażaniem spogląda się na Włochów i Hiszpanów. Ostatecznie to kraje europejskie, z tego samego kulturalnego kręgu, o podobnym historycznym dziedzictwie. Ale Turcy? Do diabła z Turkami, niech się wynoszą z berlińskiego Kreuzbergu i Weddingu bo zamienili te ładne kiedyś dzielnice w śmieszne „Orientem” brudne getta.

W Kreuzbergu mnóstwo tureckich sklepów, sprzedaje się w nich specyficzne sery, sprzedaje czosnek, cebulę i całe góry baraniny. Turcy mieszkają tu w ubiegłowiecznych, rozlatujących się już domach, pozbawionych łazienek i wszelkich innych wygód. Trzeba oddać miejskim władzom Zachodniego Berlina sprawiedliwość. Władze usiłowały nakłonić Turków do osiedlania się w innych dzielnicach, żeby nie tworzyły się getta.

Próżny trud i próżne starania.

Ledwo Turcy umie telefon i zadzwonić pod wskazany adres, ledwo usta otworzyć, a od razu słyszy w odpowiedzi: — Verzeihen Sie — ale nie z tego. Mieszkając już własnie wynajęte — Turcy poznać po wasie, po ciemnym ubraniu i ciemnych włosach. Turka poznać po akcentcie. Turcy w Zachodnim Berlinie nie ma żadnych szans. Jest z góry skazany na społeczną izolację, na smażenie się we własnym niejako sosie, na getto i na status człowieka tej drugiej, gorszej kategorii.

W Berlinie Zachodnim żyje dwanaście tysięcy tureckich dzieci.

Te dzieci usiłują chodzić do szkół. Usiłują. Bo rzadko kończą nawet szkołę powszechną. Przeszło siedemdziesiąt procent tej dziesiątki nigdy żadnej szkoły nie skończy. Kierownicy szkół z ubolewaniem wzdychają ramionami. — Nie na to nie pozwolimy. Te dzieci nie potrafią się dostosować do poziomu, jaki w naszych szkołach obowiązuje. Ten poziom już dziś jest wysoki. A dążyć do tego, żeby jeszcze był wyższy...

No cóż, kto się Turkiem urodził. Turkiem w Zachodnim Berlinie zostanie. Będzie też Turkiem przy robocie. Będzie nosił cegły, będzie szorował ubiorki, będzie wywoził śmiecie na wysypisko. Dlatego więc ci ludzie znoszą zniewagę, poniżenie, a dlaczego nie wracają skąd przybyli, zatem do Anatolii? Spytać o to Turka, to Turcy odpowiadają: — A co mam robić? Tu przynajmniej mam to jeść... Gorka to odpowiesz, niestety, trafia w sedno.

JAN BABIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Eisenhowera, mający jeszcze dziś wielkie wpływy polityczne. Ze strony gospodarzy w obradach uczestniczy m. in. wspomniany w dyskusjach o bombie neutronowej W. von Baudissin i przewodniczący Instytutu Maxa Plancka, b. szef niemieckiego programu prac nad bombą atomową w czasie drugiej wojny światowej — prof. Carl F. von Weizsäcker. Obserwatorów przysłały organizacje wyspecjalizowane ONZ.

Na zaproszeniach na uroczyste otwarcie obrad zapowiadano przybycie kanclerza RFN — H. Schmidta. Co najmniej od dwóch dni było już jednak wiadomo, że nie przybędzie on z powodu nawału zajęć państwowych. Rząd federalny reprezentowany był zatem przez ministra nauki i techniki — Hansa Matthöfera, który w imieniu kanclerza przeproszał za jego nieobecność, przyznając jednak, że stanowi to odejście od tradycji, zgodnie z którą z członkami konferencji PUGWASH spotykali się szefowie rządów krajów goszczących obrady.

rozwojowych nad samosterującymi rakietami strategicznymi jest nadal możliwe w ramach rozmów SALT. Do takiego porozumienia należy ze wszystkich sił dążyć teraz, przed ukończeniem prac rozwojowych, gdyż po ich ukończeniu będzie to bardzo trudne, jako że dzięki małym rozmiarom rakiet samosterujących nie będzie można kontrolować czy przestrzegany jest zakaz wprowadzania ich — za pomocą narodowych środków weryfikacji.

Co tyczy się bomby neutronowej, to jest ona — informuje B. Feld — małą bombą wodorową, w której 80

raz niedokonywanie prób uzyskania jednostronnej przewagi, jak czynią to Stany Zjednoczone.

Czemu natychmiast po zawarciu pierwszych porozumień nie doszło do dalszego ciągu konstruktywnych rozmów? — zastanawia się prof. Milstein. — Pierwszą barierą stała się poprawka Jacksona, która niewątpliwie odegrała negatywną rolę w dążeniu do dalszych porozumień; zgłoszona ją w r. 1972. Wiele przyczyn leży w sferze wewnętrznej polityki Stanów Zjednoczonych. W latach 73—74 pozycja Nixona była tak osłabiona w związku ze sprawą Watergate, że nie miał on już ani szansy, ani zdolności do negocjowania. Nadzieje na to, że uda się szybko osiągnąć cel rozmów rozbrojeniowych odżyły ponownie w r. 1974 w związku ze spotkaniem Leonida Breżniewa i Geralda Forda we Władystoku. Zasadniczym uzgodnieniem dokonanym podczas tego spotkania było zrównanie sił obu stron pod względem łącznej liczby wszystkich strategicznych środków przenoszenia broni jądrowej oraz liczby rakiet balistycz-

rozwoju jakościowego, propozycje amerykańskie nie wnoszą nic nowego. Wina za stagnację rozmów SALT obarczyć należy więc Stany Zjednoczone.

Jednym z argumentów strony amerykańskiej, podnoszonym dla obrony polityki wyścigu zbrojeń, jest rzekomo zamknięty charakter społeczeństwa radzieckiego i otwarty — amerykańskiego, na skutek czego Rosjanie nie wiedzą co czynią. Amerykanie, natomiast ci ostatni nie i muszą opierać się na przypuszczeniach co do najgorszej możliwej ewentualności. Naiwnością jest twierdzić — głosi stanowisko strony radzieckiej — iż USA nie mają tajemnie wojskowych. Istnienie ich może powodować również różne oceny sytuacji przez stronę radziecką. Co zaś do „obwarości” społeczeństwa amerykańskiego, to najlepszym przykładem rozbijającym ten mit jest ukrycie funduszy na produkcję bomby neutronowej w budżecie ERDA.

Wyścig zbrojeń — podkreśla strona radziecka — nie jest procesem automatycznym. Ma on konkretnego autora. Decyzji i wyboru dokonują

PROBLEMY ROZBROJENIA STRATEGICZNEGO

Wystąpienie powitalne, włącznie z depeszą W. Scheela i H. Schmidta, nie zawierały szczególnych akcentów politycznych, czego nie można powiedzieć o przemówieniu premiera Bawarii na wieczornym przyjęciu, który rozwoził się nad kwestią praw człowieka i w sposób cyniczny winą za napięcia na światowych rynkach obarczył kartele tworzone przez kraje Trzeciego Świata. Delikatną aluzję do nazistowskiej przeszłości Monachium użył jednak przewodniczący zachodniemieckiego komitetu PUGWASH, prof. Klaus Gottstein, podkreślając jednocześnie tradycje naukowe tego miasta.

Najważniejszymi materiałami przedstawionymi w dniu otwarcia były dwa „raporty” PUGWASH, odczytane na sesji otwartej przez sekretarza generalnego — prof. Bernarda Felda i dyrektora generalnego — dr M. Kaplana. Zawierały one ocenę sytuacji politycznej na świecie z punktu widzenia „trzonu kadrowego” PUGWASH, dyskusyjną następną na sesji zamkniętej.

Sprawozdanie sekretarza generalnego PUGWASH koncentruje się na problemach związanych z dwoma ważnymi spotkaniem międzynarodowymi, jakie mają odbyć się w bliskiej przyszłości — specjalnej sesji ONZ nt. rozbrojenia (1978) i ONZ-towskiej konferencji „nauka i technika dla rozwoju” (1979). Raport stwierdza, iż w rozmowach SALT doszło do utraty tempa z przyczyn politycznych i technicznych. Dotychczasowe podejście do spraw kontroli zbrojeń zostało określone jako bezpłodne. Jedynym sposobem zapobieżenia wybuchowi wojny jądrowej w tym stuleciu i proliferacji broni jądrowej może być wszechstronne rozbrojenie nuklearne ze strony supermocarstw. Obecny impas w rozmowach SALT jest jednak, zdaniem B. Felda, wynikiem błędnych ocen i nieporozumień będących jedynie chwilowymi przeszkodami na drodze do nowego startu. Techniczne podłożę impasu w rozmowach SALT, to przede wszystkim nowe elementy wyścigu zbrojeń — rakiet samosterujące i bomba neutronowa.

Jak można usłyszeć w kuluarach, podczas dyskusji żywo zaprotestowano przeciwko stawianiu tych dwóch spraw na jednej płaszczyźnie, stwierdzając, że przede wszystkim zagrożeniem dla pokoju jest bomba neutronowa i w związku z tym właśnie ta kwestia wymaga działania w pierwszej kolejności.

Przedstawiona przez B. Felda charakterystyka techniczna rakiet samosterujących nie wnosí nic nowego. Jeśli chodzi o ocenę ich wpływu na perspektywę rozmów rozbrojeniowych, to raport podkreśla, że z uwagi na fakt, iż dotychczas na uzbrojenie — przede wszystkim w Europie — weszły wyłącznie taktyczne rakiet samosterujące, zawarcie porozumienia o niedokonywaniu prac

procent energii powstającej podczas reakcji termojądrowej wyzwala się w postaci emisji neutronów predkich, przenikających do 1 m betonu lub 1 km powietrza. Czysta reakcja termojądrowa o emisji neutronów, takiej, jak w przypadku bomby użytej w Hiroszimie, wytworzy falcieplną, uderzeniową i opad radioaktywny mniejsze niż 5 proc. w porównaniu z tamtą. Nie można jednak pominąć opadu radioaktywnego, wywołanego przez atomowy zapalnik. Ponadto, pod wpływem neutronów, w rejonie eksplozji bomby neutronowej powstają w gruncie izotopy promieniotwórcze, na skutek czego „korzystanie z zachowanych nieruchomości będzie nieco mniej wygodne, niż ogólnie uznają rzecznicy nowych broni”... Jeśli siły zbrojne ZSRR nie mają jeszcze bomb neutronowych, lub jeśli nie mogą czy nie chcą zainwestować w nie skromnych zresztą środków, jakie są do tego potrzebne, to prawdopodobnie nie pozwolą one na postawienie się w gorszej sytuacji.

Reakcja opinii publicznej na bombę neutronową — stwierdza raport PUGWASH — była całkiem odwrotna niż oczekiwała wojskowa machina propagandowa USA. Pierwszy raz od kampanii na rzecz zakazu doświadczeń z bronią jądrową pod koniec lat 50-tych, jesteśmy świadkami szczerzego i narastającego protestu ze strony opinii publicznej.

Raport przedstawiony przez M. Kaplana podejmuje przede wszystkim sprawę racji bytu całego ruchu. Powstał on „w cieniu bomby wodorowej” w okresie ograniczonych kontaktów między supermocarstwami. Obecnie rokowania między nimi trwają niemal bez przerwy, dalej jednak istnieje potrzeba dokładania wysiłków nieformalnych, aby zmniejszyć utrzymujące się zagrożenie. Kaplan przedstawia rozszerzoną koncepcję „bezpieczeństwa narodowego”, uwzględniając w niej m.in. problemy energii jądrowej i zagadnienia rozwoju krajów Trzeciego Świata. Zawarta w jego raporcie definicja sytuacji międzynarodowej wspomina też o usztywnieniu stanowisk w konflikcie bliskowschodnim oraz o konfliktach na kontynencie afrykańskim, jak też o groźbie proliferacji broni jądrowej.

Obrady konferencji toczą się na sesjach plenarnych i w 9 grupach roboczych. Największe zainteresowanie wzbudza oczywiście grupa pierwsza, zajmująca się sprawami zbrojeń strategicznych. Oto, co powiedział na ten temat wysłannikowi PAP wicedyrektor Instytutu USA i Kanady Akademii Nauk ZSRR, prof. Michail Milstein:

— Wyścigu zbrojeń nie można traktować, jak czynią to niektórzy zachodni naukowcy, jako zjawiska nad którym ludzkość nie ma kontroli, w oderwaniu od kontekstów społecznych, politycznych i historycznych. Na początku rozmów SALT wydarzenia przybrały znaczne tempo i gdyby zostało ono utrzymane, rokowania nie znalazłyby się — jak dziś — na bocznicach. Konieczna jest jednak do tego obopólna dobra wola i przestrzeganie zasady równości o-

nych wyposażonych w głowice MIRV.

Wiele osób twierdzi, że pułap, jaki wówczas przyjęto, jest zbyt wysoki, stanowił on jednak możliwy do przyjęcia przez obie strony punkt wyjścia do ograniczenia broni strategicznych, od czego mógł rozpocząć się faktyczny proces rozbrojenia. W chwili objęcia stanowiska przez Cartera, nowe porozumienie na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych było gotowe w 90 proc. Dlaczego nie w 100? Główną przyczyną był fakt, że w roku 1975 Gerald Ford był zaabsorbowany przede wszystkim kampanią wyborczą, podczas której usiłował odeprzeć ataki prawicy. Od tej chwili rząd amerykański kierował się w rozmowach SALT względami wyborczymi i dlatego właśnie porozumienia z Władystoku nie zrealizowano na czas.

Propozycje przedstawione przez stronę amerykańską w marcu 1977 roku stanowiły faktycznie odrzucenie nie tylko konkretnego, osiągniętego już porozumienia, lecz również kryteriów dla drugiego etapu rozmów, były bądź próbą odrzucenia istoty i zasad porozumienia z Władystoku, bądź też rewizji zmierzającej do zalegalizowania wyścigu zbrojeń w dziedzinie strategicznych rakiet samosterujących. Wziawszy pod uwagę, iż ZSRR już w r. 1972 oświadczył, iż zachodzi potrzeba przejścia od ograniczania do redukcji zbrojeń i ustalenia granic ich

ludzie kierujący się interesami i swoją polityką. Fakt, że USA prowadzą w wyścigu zbrojeń nie wynika z wyższości naukowej i technicznej Stanów Zjednoczonych lecz z polityki zmierzającej do zdobycia przewagi militarnej. Prof. Milstein odrzuca również głoszoną w niektórych kręgach tezę, iż oba supermocarstwa są zainteresowane kontynuowaniem wyścigu zbrojeń. ZSRR nie ma w tym żadnego interesu, przeciwnie, wyścig zbrojeń przeszkadza w osiągnięciu radzieckich celów zarówno w dziedzinie wewnętrznej jak i polityce zagranicznej.

Według strony radzieckiej, pierwszorzędną sprawą dla położenia kresu wyścigowi zbrojeń jądrowych jest ułatwienie zawarcia nowego porozumienia na podstawie zasad z Władystoku. Osiągnięcia pozycja powinna zostać umocniona, co ma znaczenie zarówno polityczne jak i strategiczne. Ważną sprawą jest opracowanie naukowych kryteriów redukcji ilościowej i ograniczenia jakościowego broni strategicznych na następnym etapie rozmów oraz ułatwienie zawarcia porozumienia o zasadzie nowych typów broni masowego rażenia lub przynajmniej rezygnacja z ich prowadzenia.

MARIUSZ KUKLIŃSKI

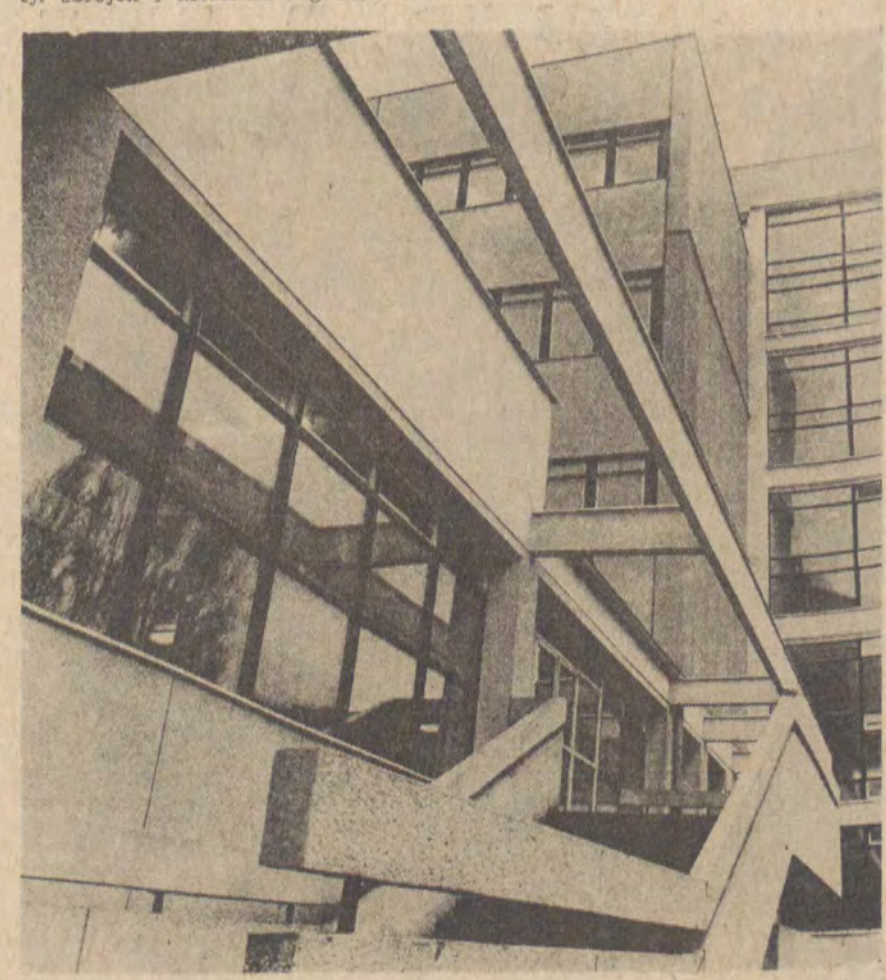


Foto: W. Parus

NIE BĘDZIE TUNELU

Z francuskiego portu Le Havre otwiera się zachwycający widok na cieśninę, którą Anglicy nazywają „kanalem”. Francuzi — „La Manche”, a wielu ludzi, ku utra- pieniu Francuzów, „Kanałem Angielskim”. Ale chodzi nie o kanał — oburza się Francuzi, lecz o cieś- ninę, w ostateczności można się nawet zgodzić i na „kanal”, tylko dlaczego „angielski”?

Ale Anglicy tak go nazywają i chy- ba nie przypadkiem. Zawsze uważali kanał za trudny do sforsowania rów obronny, który Pan Bóg stworzył przed ich wyspą, żeby ich chronić przed inwazją z kontynentu.

W strefie Kanału panują bardzo zmienne warunki pogody, utrudnia- jące nawigację. Różnica w poziomie wód między przypływem a odpły- wem wynosi w niektórych miejscach 12-13 metrów. Kanał obfituje w mnóstwo piaszczystych płycizn i pod- wodnych skał, a jego cała konfigura- cja sprzyja powstawaniu przeróżnych prądów wodnych. Szerokość Kanału przy wyjściu do Oceanu Atlantyckie- go wynosi około 160 km, zaś od stro- ny Morza Północnego (Dover-Calais) — zaledwie około 30 km. Ponadto jest on swego rodzaju korytarzem powie- trznym, w którym niezmiennie rzad- ko panuje cisza. W dodatku kryje go najczęściej szesnasta zasłona mgły.

Ale jeśli Kanał rzeczywiście przy- spara tyle kłopotów z punktu wi- dzenia nawigacji, to dlaczego by nie ułatwić kontaktu między Francją i Anglią, budując most czy podmorski tunel? Francuzi inżynierowie-entuz- jastki proponowali mnóstwo projek- tów, które spotykały się z żywymi przyjęciami ze strony Anglików, ale bez entuzjazmu. W głębi duszy, An- glikowie nigdy nie zachwycali się myś- lą, bowiem urzeczywistnienie jej po- żyłoby kres korzystnej, wyspiarskiej pozycji Anglii. Już Napoleon, po podpisaniu traktatu pokojowego w 1802 roku, zaproponował Anglii wyko- nanie projektu, którego autorem był pewien francuski inżynier. Pro- jekt dotyczył zbudowania w najwię- szym miejscu Kanału tunelu wyló- żonego kamieniami, przez który biegłaby szosa. Wentylację miały za- pewnić kominy wychodzące ponad poziom wód Kanału. Wystarczyła je- dnak myśl, że któregoś pięknego dnia wojska francuskie mogłyby się nieo- czekiwanie znaleźć u wylotu tunelu po angielskiej stronie, żeby Londyn uznał ten projekt za nierealny. Zre- szta nie doszło nawet do oficjalnego odrzucenia tej propozycji, wkrótce bowiem obie strony znów znalazły się w stanie wojny.

Od tego czasu projekty mnożyły się jak grzyby po deszczu. W 1973 roku wydawało się już, że ten wiel- ki zamyśl doczeka się realizacji tym bardziej, iż popierały go rządy obu krajów. Jednakże w styczniu 1975 roku, ku wielkiemu rozczarowaniu Francuzów, nowy rząd brytyjski po- powiedział nieoczekiwanie „nie” i ko- lejny projekt tunelu poszedł ad acta.

(C)

Już od przeszło 90 lat na- ród Namibii pozostaje pod u- ciskiem kolonialnym. Od 1884 do 1915 roku gospodaro- wali tutaj imperialiści niemiec- cy. Od 1915 roku ulokowała się w Namibii biała elita Re- publiki Południowej Afryki, po- czątkowo konspiracyjnie, a od 1920 roku oficjalnie, na pod- stawie mandatu ówczesnej Ligi Narodów do administrowania tym afrykańskim terytorium. W 1966 roku Zgromadzenie O- gólne ONZ uznało mandat LN za wygasły i zażądało przy- znania Namibii pełnej niepod- ległości.

RPA odrzuciła to żądanie i wobec tego w 1968 roku, na mocy posta- nowienia Zgromadzenia Ogólnego ONZ, powołano Radę NZ d/s Nami- bii. W 1972 roku ruch narodowo- wyzwolenny Namibii (South-West Africa Peoples Organisation of Na- mibia — SWAPO) został uznany przez Organizację Jedności Afryki (OJA), jako oficjalny reprezentant ruchu narodowo-wyzwolenczego Na- mibii i otrzymał status obserwatora przy Komisji ONZ d/s Dekolonizacji. Również ONZ uznała SWAPO za je- dynego prawnego przedstawiciela na- rodu Namibii.

Namibia, ten jeden z najbogatszych krajów świata, jest nadal okupowana przez RPA, eksploatowana i wyzyski- wana przez zaborczych kapitalistów. Liczba jej rdzennie afrykańskiej lud- ności (150 tysięcy), 7-krotnie prze- wyższa liczbę białych kolonialistów (ok. 100 tys.). Naród Namibii żyje w jarmie podwójnej tyranii: miejscow- ych białych kolonialistów i rasi- stowskiego reżimu Republiki Połu- dniowej Afryki.

Głównym przemianą polityczną, które zachodzą na afrykańskim kon- tyencie w wyniku pomyślniejszej polityki Anglii. Już Napoleon, po podpisaniu traktatu pokojowego w 1802 roku, zaproponował Anglii wyko- nanie projektu, którego autorem był pewien francuski inżynier. Pro- jekt dotyczył zbudowania w najwię- szym miejscu Kanału tunelu wyló- żonego kamieniami, przez który biegłaby szosa. Wentylację miały za- pewnić kominy wychodzące ponad poziom wód Kanału. Wystarczyła je- dnak myśl, że któregoś pięknego dnia wojska francuskie mogłyby się nieo- czekiwanie znaleźć u wylotu tunelu po angielskiej stronie, żeby Londyn uznał ten projekt za nierealny. Zre- szta nie doszło nawet do oficjalnego odrzucenia tej propozycji, wkrótce bowiem obie strony znów znalazły się w stanie wojny.

Od tego czasu projekty mnożyły się jak grzyby po deszczu. W 1973 roku wydawało się już, że ten wiel- ki zamyśl doczeka się realizacji tym bardziej, iż popierały go rządy obu krajów. Jednakże w styczniu 1975 roku, ku wielkiemu rozczarowaniu Francuzów, nowy rząd brytyjski po- powiedział nieoczekiwanie „nie” i ko- lejny projekt tunelu poszedł ad acta.

NAMIBIA

NARÓD BEZ OJCZYZNY

niun wolnych wyborów. Zeby tego jednak dokonać — pisze polityczny komentator gazety „Namibia News”, ukazującej się w Lusace — należy usunąć przyczyny wojny i stworzyć warunki bezpieczeństwa, co może nastąpić tylko w warunkach całko- witego wycofania z Namibii wojsk RPA.

Obecność Republiki Południowej Afryki, a zatem obecna administra- cja czy też ów generalny administra- tor, wyznaczony przez Vorstera, są bezprawne. W Namibii stacjonuje dziś około 50 tysięcy południowo- afrykańskich żołnierzy i oficerów, a także tysiące żołnierzy należących do rozgromionych, rozbijanych ugrupo- wań UNITA-FNLA, działających przeciwko rządowi Ludowej Republi- ki Angoli. RPA używa żołnierzy UNITA-FNLA jako najemników do działań wojennych przeciwko siłom zbrojnym SWAPO, głównie wzdłuż granicy między Namibią a Angolą. Ale południowoafrykańscy żołnierze prowadzą nie tylko działania wojen- ne. W ramach „ustawy” o walce z terroryzmem i tzw. zarządzenia nr 17 dotyczącego północnego rejonu Namibii, i wojsko i policja są upo- ważnione do zbierania informacji od miejscowej ludności o partyzantach, nawet przy użyciu siły, do rozpęta- nia zebrań, tworzenia zamkniętych rejonów murzynskich, do aresztów i rewizji bez okazywania nakazów są- dowych. Według informacji, które SWAPO otrzymała od misjonarzy przebywających w rejonie strefy Kapriwi, południowoafrykańscy żoł- nierze poddają śledztwu nawet dzie- ci, szczególnie po militarnych opera- cjach SWAPO.

SWAPO otrzymała także kopię in- strukcji sił obrony RPA w sprawie działań militarnych z użyciem specja- lnych rodzajów broni i taktyki. Do- kument ten potwierdza obawy przy- wódców SWAPO, iż nieskrępowane wybory, wolne od codziennego za- straszania miejscowej ludności i bru- talnych rozpraw władz RPA z lud- nością Namibii są niemożliwe bez wycofania z Namibii południowo- afrykańskich wojsk.

Wspomniana instrukcja nie tylko daje prawo żołnierzom RPA do za- bijania ludności cywilnej występują- cej przeciwko południowoafrykań- skiej okupacji, ale nawet wręcz za- chęca do takich aktów zbrodni. SWAPO nie będzie uczestniczyć w procesie pokojowego uregulowania problemu Namibii dopóki okupacyj- ne wojska RPA i jej cały aparat terroru będą wykonywać kontrolę w tym kraju. Pozycja SWAPO jest ja- sna: „Nie zgadzamy się na przepro- wadzenie wyborów pod kontrolą RPA. Ponadto, wraz z żądaniem całkowitego wycofania się RPA z Namibii, SWAPO żąda także bez- warunkowego uwolnienia z więzień

wszystkich namibijskich więźniów politycznych”.

Jest oczywiste, iż bez ekonomicz- nej, politycznej, wojskowej i ideolo- gicznej pomocy państw zachodnich, groźby pokojowi i bezpieczeństwu narodów, okupacyjny reżim Republi- ki Południowej Afryki w Namibii, dawno by już runął jak domek z kart. Można nawet bez przesady po- wiedzieć, iż państwa imperialistyczne są materialnie zainteresowane w za- chowaniu i utrwaleniu obecnej sytu- acji w Namibii, ponieważ wszystkie jej bogactwa naturalne, a także prze- myśły rybny oraz hodowlę bydła kon- trolują zagraniczni kapitaliści. Mono- pole RPA, Anglii, RFN, Japonii, Kan- nady i innych krajów zachodnich fu- czą się na wyzysku narodu Namibii i eksploatacji jej bajecznych bogactw naturalnych. Zyski te, zgodnie z De- kretem nr 1 Rady ONZ d/s Namibii, pochodzą z dóbr kradzionych.

Potęgując walkę zbrojną z rasi- stowskim okupantem SWAPO nie wyklucza jednak możliwości pokojo- wego rozwiązania problemu Namibii drogą rozmów. Ale żeby te rozmowy były rzeczywiste owocne, południo- woafrykański reżim powinien uznać SWAPO jako jedynego prawdziwego przedstawiciela narodu Namibii, zagwarantować terytorialną jedność kraju, uznać prawo narodu Namibii do niezawisłości i suwerenności na- rodowej.

Tymczasem oddziały partyzanckie prowadzą pomyślnie działania bojowe przeciwko południowoafrykańskim wojskom okupacyjnym nie tylko na północnym zachodzie, północy i wschodzie, lecz także rozszerzają je na centralne rejony kraju, aż do ad- ministracyjnego centrum Namibii — Windhuku i jego okolicy. W począt- kach lipca, pod naciskiem partyzan- tów SWAPO, wojska RPA wycofały się z umocnionych rejonów Onam- butu, Onatajengo i Zombundu. Oku- panci stracili około 200 zabitych, 26 transporterów, 3 śmigłowce i znacz- ne ilości innego sprzętu wojskowego.

JERZY CZECH

U PRZYJACIOŁ

W Bułgarii trwają przygotowania do zbliżających się obchodów 1300- lecia utworzenia państwa bułgarskie- go (681 r.). Mimo że do kulminacji obchodów jest jeszcze sporo czasu, już teraz przygotowuje się nowe sztuki teatralne, scenariusze filmo- we, dzieła plastyczne. Telewizja oprócz nowych sztuk, m.in. Wezino- wa, Chajtowa, Rusewa przygotowuje 12-odcinkowy serial dokumentalny od czasów twórcy pierwszego państwa bułgarskiego, Chana Asparucha po dzień dzisiejszy. Rozpoczęto także re- alizację 6-odcinkowego filmu telewizyjnego wg powieści Stefana Diczewa, przedstawiającego wyzwolenie Bułgarii przed 100 laty z tureckiej niewoli.

W koprodukcji z telewizją radziec- ką zostanie zrealizowany 3-odcinko- wy film o generale Zaimowie, jed- nym z bułgarskich bohaterów II wojny światowej. Zapowiedziano także dalsze odcinki serii „Notatki z powstań bułgarskich” Stojanowa. Rewolucyjne zmiany na wsi bułgar- skiej zostaną przedstawione w 6-od- cinkowym serialu „Wiosna”. Udział Bułgarii w międzynarodowym życiu kulturalnym obrazuje seria audycji publicystycznych pt. „Obecność Buł- garii w świecie”.

We wrześniu br. nad brzegami Le- ny na Syberii rozpoczyna się zdjęcie radziecko-polskiego filmu poświęco- nego Feliksowi Dzierżyńskiemu. Jego postać odtworzył polski aktor — Piotr Gorlicki. Reżyserem filmu jest Ana- tol Bobrowski, a scenarzystą znany prozaik Julian Siemionow. (Frag- ment jego powieści o Dzierżyńskim drukowaliśmy w ub. roku na la- mach „Odgłosów”). W scenariuszu Siemionow wykorzystał wiele mate- rialów archiwalnych i muzealnych, korespondencje Dzierżyńskiego, wspomnienia jego bliskich i przyja- ciół. Jednym z konsultantów filmu jest Zofia Dzierżyńska.

Kinematografia radziecka wielo- krotnie ukazywała na ekranie postać Dzierżyńskiego. Najczęściej jednak przedstawiając jego działalność w póź- niejszym okresie życia. Reżyser Bo- browski pierwszy zainteresował się początkami jego rewolucyjnej drogi. Opowieść zamysła rok 1906, kiedy podczas IV Zjazdu SDPRR w Sztokholmie Dzierżyński po raz pierwszy spotyka się z Leninem. Zdjęcia do filmu realizowane będą również w Polsce, NRD i Szwecji.

Brno jest nie tylko miastem słyn- nych targów przemysłowych, ale także ważnym centrum życia muzy- cznego Czechosłowacji. Tutaj żył i tworzył jeden z największych kom-pozytorów czeskich XX wieku, Leos Janacek, którego imię nosi obecnie miejscowa opera. Co roku organizu- je się tu międzynarodowe festiwale muzyczne poświęcone pamięci kom-pozytora. (W ub. uczestniczył m.in. z dużym powodzeniem łódzki Teatr Wielki z „Lordem Jimem”).

Tegoroczny XII Międzynarodowy Festiwal Muzyczny w Brnie — o- kazy 60-lecia Rewolucji Październi- kowej — poświęcony będzie tema- towi „Muzyka a rewolucja”. Udział w festiwalu, który rozpocznie się 30 września, zapowiedziały znane zes- pory i soliści w kilku krajach.

W NRD działa obecnie ponad 700 kin, które w ubiegłym roku odwie- dziło blisko 90 mln widzów. Syste- matycznie wzrasta liczba wyświetla- nych filmów. Np. z 112 tytułów w roku 1973 do 140 obecnie. Dużym zainteresowaniem publiczności cieszą się „Dni filmu socjalistycznego”, które w br. odbędą się po raz piąty pod koniec września w Halle. Rów- nież jedną z najbardziej popularnych imprez filmowych jest „Festiwal fil- mu radzieckiego”. W br. impreza ta odbędzie się już po raz szósty na te- renie całej Republiki.

Kolejny radziecki sezon teatralny rozpocznie przedstawienie opery Mu- radelego „Październik” w Kremlo- wskim Pałacu Zjazdów oraz spektakl baletu Eszmana „Angara” w Teatrze Wielkim. W związku z 60-leciem Re- wolucji Październikowej sezon będzie miał szczególny charakter. Większość teatrów Kraju Rad przygotowała wiele nowych inscenizacji dramatów związanych z tym wielkim wydarze- niem.

Ko jubileusz przygotowują się także teatry dramatyczne, które za- powiadają ok. 200 nowych przedsta- wień dramatów 160 twórców. Ponad sto premier przedstawiać będzie współczesne problemy Kraju Rad. W br. odbędzie się także III Festiwal Dramaturgii Narodów ZSRR w ca- łości poświęcony 60-leciu Rewolucji Październikowej.

■ ŻYWE I RYTMICZNE KONTAKTY ■ POSTĘP NA LETNIEJ SESJI ■ POTĘPIENIE APARTHEIDU

Wiadomość o tym, że Edward Gie- rek w przyszłym tygodniu (12-14 września) złoży oficjalną wizytę we Francji świadczy o żywych i rytmic- znych kontaktach, jakie utrzymują ze sobą oba kraje. Kalendarz spotkań na najwyższym szczeblu wypełniony jest dość obficie. W 1972 roku wizyta I sekretarza KC PZPR w Paryżu, w 1975 roku oficjalna wizyta w Polsce prez. V. Giscard d'Estainga, w 1976 roku prywatna wizyta prezydenta Francji w naszym kraju...

Stosunki polsko-francuskie przed- stawiane są często jako przykładowe między krajami o dwóch różnych ustrojach. Nie ma w tym przesady. Rzeczywiście współpracujemy na wielu płaszczyznach — przy czym ze współpracy tej każda ze stron wyciąga korzyści. Wymaga podkreśle- nia i to, że stale zacieśniają się wię- zi między społeczeństwami obu kra- jów i to nie tylko w oparciu o tra- dycję, lecz również o realia obecnej współpracy.

Nadrzędnym celem jest utrwalenie pokoju w Europie i zapewnienie go na świecie. Mimo bowiem oczywis- tych postępów w procesie odpręże-

nia — raz po raz podejmowane są przez różne koła na Zachodzie pró- by powstrzymania pokojowych ten- dencji i zmrożenia stosunków mię- dzynarodowych. Polska i Francja zainteresowane są tym samym — rozwinięciem odprężenia i partnerską współpracą.

Wizyta Edwarda Gierka we Fran- cji będzie ważnym etapem na drodze coraz bliższego współdziałania obu krajów na płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej i kulturalno-naukowej. I ma oczywiście aspekt szerszy — wybiegający poza bilateralne stosun- ki.

Jeszcze przez chwilę pozostanmy przy temacie: Francja.

Za siedem miesięcy odbędą się tam wybory parlamentarne, które — zdaniem wielu obserwatorów — z pewnością przyniosą dalsze wzmo- cnienie pozycji lewicy, a może nawet jej przewagę.

Przypomnijmy, że w 1972 roku trzy partie: komunistyczna, socjalistyczna i tzw. lewicowych radykałów przyje- ły wspólny program, który teraz wy- maga zaktualizowania. Na temat rozległości zmian w owym programie

rozwinęła się właśnie polemika, któ- rą uważa się jednocześnie i za począ- tek powakacyjnego sezonu i za po- czątek przygotowań do wyborów.

Można oczekiwać, że najbliższe miesiące wniosą znaczne ożywienie do życia politycznego we Francji.

A teraz odnotujmy, że w minio- nym tygodniu zakończyła się letnia sesja genewskiego Komitetu Rozbro- jeniowego, w pracach którego ucze- stniczą delegacje 30 państw. Tema- tem zasadniczym dyskusji były pro- pozycje, zawarte w radzieckim me- morandum, a dotyczące powstrzyma- nia wyścigu zbrojeń.

Jednocześnie trwały konsultacje ZSRR — USA — W. Brytanii na temat zawarcia układu o całkowitym zakazie doświadczeń z bronią jądrową. Ustalono w nich, że trójsstronne rokowania rozpoczną się w Genewie 3 października.

Inne konsultacje: ZSRR — USA dotyczyły zakazu produkcji nowych rodzajów i systemów broni masowej zagłady, a zwłaszcza broni radiolo- gicznej.

W większości problemów, omawia- nych w toku obrad plenarnych — jak się dowiadujemy — osiągnięto pewien postęp. Jeszcze istotniejsze jest to, iż wielu dyskutantów podkre- ślało z mocą konieczność przerwania wyścigu zbrojeń, czego alternatywą może być tylko sięgnięcie po coraz nowsze i niebezpieczniejsze rodzaje, jak np. broń neutronowa. Co ozna- czałoby to — nie trzeba dodawać.

Genewski Komitet Rozbrojeniowy jest najbardziej reprezentatywnym forum, na którym dyskutowane są zagadnienia rozbrojenia.

O rozbrojeniu wiele będzie się też dyskutować na kolejnej sesji Zgro- madzenia Ogólnego NZ, której po- rządek dzienny i tym razem znacznie przekracza 100 punktów.

I jeszcze kilkanaście słów o świa- towej konferencji przeciwko apar- theidowi, obradującej w stolicy Ni- gerii — Lagos, zakończonej w ub. tygodniu. Wzieli w niej udział przed- stawiciele prawie 70 krajów i wielu organizacji międzynarodowych. Pod- stawowym dokumentem konferencji był program Zgromadzenia Ogólnego NZ, przyjęty na XXXI sesji.

Deklaracja końcowa konferencji domaga się położenia kresu wszelkiej współpracy z Republiką Południowej Afryki oraz wzywa rządy, aby zasto- sowały sankcje ekonomiczne przeciw- ko reżimowi w Pretorii.

RPA i Rodezja — stwierdzono ponadto na konferencji — usiłują przy pomocy zbrojnych prowokacji wywołać nie- pokoje na południu Afryki, aby od- wrócić uwagę od apartheidu.

W. SŁAWSKI

JERZY WAWRZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

Deszcz nie padał, to było pierwsze dobre spostrzeżenie. Spałem dobrze, chociaż od początku przeszkadzały jacyś rozbawieni faceci, prawdopodobnie delegacyjni goście używający sobie poza domem. Albo mi się śniła, albo miała rzeczywiste miejsce awantura przed wejściem do restauracji, której czerwony neon stał jak zorza wieczorna nad moim oknem. Ale w sumie to była dobra noc, bo przecież miałem prawo mieć obawy, że mi tak prędko nie przeleci.

Policzyłem do trzech i zerwałem się z wąskiego tapczaniku, moje bosse stopy zaklaskwały na chłodnych deskach podłogi. Gimnastyka przepędzała resztki snu. Och, nie lubiłem tej codziennej, porannej walki z sobą. Teraz, w tym „nowym życiu”, było to nie do pomyślenia: musiałem obowiązywać nowe rygory, począwszy nawet od takich drobiazgów. Od czegoś bowiem trzeba zaczynać, by narzucić sobie sprężysty rytm każdego dnia, nie poddawać sobie w żadnym przypadku. A ten dzień właśnie od początku w każdym szczególe był ważny — tak sobie to wczoraj wyklarowałem — bo wszystko co mnie miało dziś spotkać i każda moja reakcja składały się w sumie na ostateczną decyzję. Tak jej przecież naprawdę z ręką na sercu jeszcze nie podjąłem.

Ten dzień był więc czymś w rodzaju rekonesansu. Tak to dokładnie określiłem już wychodząc z baru miecznego po śniadaniu, pytając się o ulicę Wojska Polskiego. Wytłumaczono mi prosto: do rynku, na lewo i prosto aż za wiadukt. Nie śpieszyłem się w tamtym kierunku, sprawiał mi przyjemność pozornie bezładne i niecelowe błądzenie po ulicach tego miasteczka i powtarzanie: „jaki jesteś, Kamieńcu, pokaż swoją twarz, jak mnie tu widzisz, w swych murach, ulicach, co sobie obiecujesz po człowieku, który wychynał z kilkusetletniej magmy ludzkiej, by stać się twoim wrogiem lub sprzymierzeńcem”.

Miasteczko podobało mi się, w każdym razie daleki byłem od rozczarowania, porównując rzeczywistość z lekturą przewodnika po Kamieńcu. Nigdy tu przedtem nie byłem, więc po przeczytaniu owego ogłoszenia w „Głosie Robotniczym”, w pierwszej książeczce w kolorowych okładkach i nauczyłem się jej prawie na pamięć, by rozwiać swoje obawy i życzliwie usposobić Elize do tego miasteczka siedmioletnich zabytków, położonych wśród lasów, w zakolach krystalicznie czystej rzeki, zdrowego klimatu płaskowyżu.

Przed wejściem do przeszkłonej portierni sprawdziłem jeszcze raz dokumenty. Wszystko było w porządku. Wyłuszczyłem, o co chodzi, starszemu w sukienym mundurze. Dwupiętrowy biurowiec był kilka kroków dalej. Omiłując kafele wszedłem do środka, bez trudu odnalazłem pokój sekretariatu naczelnego. Powtórzyłem sobie jeszcze raz w pamięci nazwisko: Ksawery Wrześniewski.

Zaraz pana zamelduję, niech pan siada, — powiedziała jedna z dwóch kobiet, jakie tu urzędowały przy sąsiadujących z sobą biurkach. Usiadłem, gapiąc się na kobiety, zwłaszcza na młodszą, prezentującą się całkiem atrakcyjnie. Za oknem

też nie było nic interesującego, ślepy mur pewnie jakiegoś magazynu. Zastanawiałem się, czy jestem zdenerwowany. Chyba tak, bo poczułem gwałtowną potrzebę zapalenia papierosa, ale dziewczyna wyszła już od dyrektora i powinna zaraz zaprosić mnie do środka. Usiadła jednak bez słowa na swoim miejscu.

— Dyrektor jest zajęty? Jakis interesant, narada? — spytałem.
— Nie, ale dyrektor zadzwonił, kiedy może pan wejść.
— Jest sam? I zajęty, nie rozumiem?

Spojrzała na mnie z irytacją, z jaką patrzy się na dzieci nie mogące pojąć oczywistości. Ładnym kobietom wybaczają się takie upomnienia, czasami jest się im za nie wdzięczny. Ja uśmiechnąłem się tylko niewyraźnie.

— W porządku — uprzedziłem jej wyjaśnienia i zapaliłem papierosa. Odpowiadało mi to właściwie, chociaż na moment się zirytowałem. „Myślałeś, chłopie, że oni tu czekają z czerwonym dywanem i orkiestrą strażacką na inżyniera Wadasa? Masz, mój panie, co prawda dyplom, ale oprócz tego tylko paperek o ukończeniu stażu i występujesz właściwie w cholernie trudnej roli debiutanta. Człowieka, jeśli to nie za wielkie słowo, zdanego na łaskę i nienadzę i własne skromne możliwości. Pomyśl lepiej, o co tamten człowiek za ścianą (młody? stary?) może cię pytać i jak mu najlepiej odpowiedzieć, żeby już na wstępie zrobić dobre wrażenie. Tak, jeszcze jeden, kolejny, nie ostatni, egzamin. Tylko cię już nikt z lepiej obkutyh kolegów nie przepytuje. Nie masz śladu w rękawie z tasemcami wzorów matematycznych. Nie masz za sobą nocy wkuwania, bo już od owego ostatniego, prawdziwego egzaminu, będziesz odpowiadał na pytania, których nikt wcześniej nie wywiesił na tablicy dziekanatu.”

Człowiek za biurkiem był stary, dość niedbale ubrany z siwą gęstą czupryną i takim samym krótko przyciętym wąsem. Musiał być wysoki sądząc po barczystych ramionach i szerokiej pierś. Przyglądał mi się chwilę zza okularów twardym, nieprzyjaznym wzrokiem. Masywne szkiełki miał zwarte, policzki już lekko obwisłe, gładko wygolone. W dużych żyłastych dłoniach, jak u murarza, tkwiła fajka.

Nie spuściłem wzroku i po chwili jego spojrzenie jakby zmiało. Odśunał na bok stos dokumentów, pochylił się nad moimi papierami. Teraz wziąłbym go za spokojnego starszaka, gdyby siedział na ławce w parku z książką na kolanach. Widywałem takich w Parku Staromiejskim, jak przesiadywali nad kamienicznymi stolikami — szachownicami i grali w damkę lub warcaby. Wreszcie dyrektor odłożył dokumenty na bok, zdjął okulary i znowu patrzył na siebie, aż do momentu, kiedy powiedział szorstkim głosem:

— Dlaczego pan chce się przenieść do Kamieńca?

W tej chwili zrozumiałem, od razu, z absolutną pewnością, z jakimś przebliskiem intuicji, która mnie czasami wspierała, że z tym człowiekiem nie pójdzie mi łatwo, że się z nim nigdy nie dogadam, jeśli nie będę z nim szczery, jak z rodzonym

ojcem lub bratem. Zrozumiałem, że jest jednym z tych, którzy nie mają do ukrycia przed innymi, ale też sami chcą ich widzieć na wylot, aż do najmniejszego zakamarka duszy.

— Myślę, że w Kamieńcu szybko do czegoś dojdę. Jestem na dorobku, potrzebuję mieszkania, pieniędzy, chcę mieć ciekawszą pracę niż w „Uniontexie”. To chyba oczywiste.

Wrześniewski zaśmiał się głośno, szczerze, chociaż krótko. Spojrzałem na niego zdziwiony, ale odwróciłem w tym momencie głowę i wypatrywałem czegoś za oknem w anemicznej jeszcze zieleni drzew.

— Dziwi pana mój śmiech, chłopce — ni to spytał, ni stwierdził. — To normalne, zrobił mi pan niespodziankę. Sądzę, że mi pan palniesz zgrabną mówkę o... — machnął ręką — nie cierpię takiej gadaniny jak zarazy. Z pięknych deklaracji Polski nie zbudujemy. Och, to, co umiemy doskonale, to gadać — sapnął z irytacją, skrzywił się, jakby mu się przesunęła wątroba. I z tą miną na pół cierpiętniczą, na pół drwiącą oznajmił oficjalnie, właśnie tak, oznajmił, a nie powiedział:

— Zatrudnię pana jako głównego mechanika, zgoda?

— Za ile, panie dyrektorze?

Spojrzał na mnie wzrokiem człowieka, który się zagubił. Nie wie, skąd się wziął i gdzie jest. Mówiąc obcesowo, był to wzrok lekko zbarniały.

— Dam, ile się należy — powiedział siląc się na spokój.

Jestem także rzeczowym człowiekiem — powiedziałem i zacząłem z zainteresowaniem oglądać przeszkłoną szafę, w której upchano jakieś trofea: puchary, kolorowe porcelany, medale. Czułem, jak stary mocuje się z sobą, hamuje, by nie grzmotnąć pięściami, bo te murańskie dłonie były już zaścięnięte w pięści jak dwie rakowate bile.

— Trzy na początek, po okresie próbnym górna granica. Zgoda?

— A ile on trwa? — wiedziałem, że w tym momencie mam jeszcze przewagę, chociaż przeciągam strunę. Od jutra jednak będzie rozmawiać ze mną inaczej, z innej pozycji — tak jak wszędzie — wszechwładnego szefa. Teraz jeszcze byliśmy partnerami.

— Nie wiem. To będzie zależało od pana, inżynierze Wadas.

— Zgoda — podniosłem się z krzesła. Napisał kilka słów na moim podaniu, unosząc głowę dostrzegłem tę okrągłą liczbę i zamasyzty zawijas autografu. Podał mi rękę, twardą, suchą w dotyk.

— Resztę pan załatwi z naczelnym inżynierem i kadrowcem. Powodzenia.

Wróciłem do sekretariatu. Dziewczyna jakby na mnie czekała.

Naczelnym inżynierem czeka na pana, — oznajmiła tonem, jakby to była jej zasługa i spytała, co ma mi podać do picia. Zgodziłem się na kawę, chociaż po lichym śniadaniu żołądek buntował się przed takimi namiastkami. Miałem złudzenia, że to

będzie krótka, formalna prezentacja. Na powitanie wyszedł energicznie zza biurka mój przyszły bezpośredni szef. Kilkakrotnie, ku mojemu zdziwieniu, potrząsnął moją ręką z demonstracyjną wylewnością. Usadził w fotelu, podsunął paczkę z papierosami.

— Bardzo nam się pan przyda, panie inżynierze. Od dwóch miesięcy mam w swoim pionie vacat. A główny mechanik to u nas Bóg i car od sprzętu, a bez sprawnych maszyn, wiadomo. Miałem z tym osobiście urwanie głowy, bo zastępca bez szkoły. A nie mogliśmy nikogo z tujszych inżynierów zatrudnić — zaśmiał się z doskonałego jego zdaniem dowcipu, bo ich nie ma. To znaczy jest paru — skrzywił się dla odmiany — ale pouządzani, na wysokich stołkach. A w ogóle — urwał tak samo nagle, jak zaczął ten potok wymowy i zamyślił się, jakby ten monolog toczył przed lustrem, a nie drugim człowiekiem.

— Muszę powiedzieć na wstępie, panie dyrektorze, że w życiu nie kierowałem nawet sklepikiem uczniowskim. I mam porządnego pietra, i jeżeli mi nie pomożecie...

— Niech pan mnie nie nazywa dyrektorem — przerwał mi w sposób tak nieoczekiwany, że dosłownie zdebalem i musiałem zrobić całkiem głupią minę. — Jestem oczywiście pierwszym zastępcą dyrektora Wrześniewskiego, ale pan rozumie, tak się u nas przyjęło, że jego nazywamy dyrektorem. Kieruje tym przedsiębiorstwem od czterdziestego piątego. Pan rozumie, ja jestem tylko naczelnym inżynierem.

„Tyłko”? — chciałem powiedzieć, ale ugryzłem się w język.

— To dobrze! — powiedział, jakby go coś wewnętrznie oślnęło.

— Co dobrze? — na Boga nie mogłem się polapać w tych jego uskokach myśli.

— Że pan docenia trudności. Szczerze mówiąc nie jest w tym dziale najlepiej. Sprzęt stary, z dyscypliną kłopsko, bo ludzie porozrzucali po trzech powiatach i upilnować trudno. Fuchy robią, skubańce... Fakt, chłopie się budują, pan rozumie?

— Mam tremę — powiedziałem — bo wiem w jak dobre przedsiębiorstwo wchodzi. Wiem, wiem, czytałem nieraz w „Głosie Robotniczym” o waszych sukcesach. Inna rzecz, to mnie także zachęciło...

— Musimy być dobrzy... — znowu odniósłem wrażenie, że te słowa wyrwały mu się wbrew woli, bo nie usłyszałem dalszego ciągu.

Pozostało mi jeszcze odsiedzieć swoje, wysłuchać kilku nie mających nic do rzeczy monologów naczelnego inżyniera, zadać kilka błahych pytań i podziękować za kawę i czas, którego mi rzeczywiście nie żałował.

Wróciłem do śródmieścia na obiad.

Restauracja o tej porze była prawie pusta. Usiadłem w rzędzie stolików pod oknem, zlustrowałem szybko wnętrze, zagłębiłem się w kartę dań. Ale nagle odeszła mnie wszelka ochota na jedzenie. Poczułem się w tej pustej sali jakby przybyłem z innego świata, zabłąkałem tu przypadkowo, bez żadnych istotnych powodów, siedzący właśnie w tym miejscu, z jakimiś niejasnymi planami na resztę dnia i Wielką Niewiadomą na następne dni, tygodnie i miesiące. A może lata? To prawie mnie przeraziło. Obrzydliwy, nieznany przedtem strach, ścisnął mnie za gardło jak bezkształtny upiór w koszarach sennym. A co gorsze, było to całkiem fizyczne uczucie, coś jak skurcze żołądka, ból w całym podbrzuszu, piersiach, rozlewający się po całym ciele.

Ochłoniąłem tylko na moment. Zobaczyłem dwie dorożki stojące w rynku i przez mglenie oka siebie siedzącego za przgarbionym woźnicą; posyłałem czapianie końskich kopyt niosących mnie w kierunku stacji. Ale zaraz na tę fantasmagorię nasunęła się twarz konduktora Kamierskiego, który z mądrym uśmiechem, bez cienia ironii, kiwa tylko głową, jak człowiek, który nie dziwi się już tym przyjazdom i ucieczkom.

Rozebrałem się głośno. Kelnerka spojrzała na mnie zdziwiona czy nawet przestraszona. Kazalem jej przyjąć za chwilę i zabrałem się już w jakimś takim skupieniu do studiowania karty dań. Tak, byłem zmęczony, głodny, spięty oczekiwaniem jak mnie przyjmą w tym Kapebe, przeżyłem drobniutki kryzys, taki zwyczajny popłoch, przed nieznanymi realiami kamienieckiej przyszłości. Kiedy tam w Łodzi wszystko było sprawdzone i pewne. I nawet coś więcej: trwał tam jak niezniszczalny schron dom Elizy, mojej jednorocznej żony, do którego mogłem się niekoniecznie chylić wprowadzić. Niestety, mogłem to zrobić pod jednym warunkiem. Wystarczyło tylko

przestać być Julianem, synem Władysława Wadasa i Jadwigi Wadas z domu Olczak, bratem Franka i Bolka Wadasów. To była ta jedna drobna przeszkoda, która zaprowadziła mnie tutaj, z wielkiej ziemi na tę małą wyspę!

Przywołałem kelnerkę. Szczupła o delikatnej twarzy dziewczyna z kawałkiem białej koronki wpiętej we włosy, udzieliła mi pierwszej lekcji kamienieckich obyczajów.

— Proszę piwo.

— Piwo podajemy tylko do konsumpcji — przerwała mi od razu.

Skwitowałem westchnieniem tę przyganę i zamówiłem resztę: krupnik i zrazy po węgiersku. Ponowiłem prośbę o kufel piwa. Chwileczkę się zastanowiła, ale wsparłem moją prośbę argumentem, że przyrzeczenie obiadu jakiś czas potrwa, i po chwili miałem, com chciałem. Podziękowałem grzecznie, co wzbudziło jeszcze większe podejrzenie, przyjechała mi się uważniej, jakby był już wstawiony o dwunastej w południe.

Nie kupiłem po drodze gazety, gapiłem się więc bezmyślnie na twarze ludzi, których przybywało coraz więcej. Lustrowałem to wnętrze, jako przyszły mieszkaniec Kamieńca i jeśli nie bywałem tego lokalu, to przynajmniej ktoś, komu nie jest obojętne, gdzie będzie wpadał na obiad czy wieczorną kawę ze znajomymi. Tu za kilka dni miałem przyprowadzić Elizę. Tak się umówiliśmy, że po tygodniu przyjedzie do Kamieńca na rekonesans, bo tylko raz czy dwa zachciała przejazdem przez to miasto — miasteczko. Zależało mi więc na każdym szczególe tej przyszłej wizyty, jakby już teraz układał jej scenariusz. To prawda, chciałem Kamieniec sprzedać za wysoką cenę. Rozumiem, że to miasteczko nie może wzbudzić w niej entuzjazmu, ale zgrabne pokierowanie tym wywiadem mogło przynajmniej złagodzić uprzedzenia, zmniejszyć opory. Szyszkowałem się więc do roli przewodnika po Kamieńcu, wzbogacając swą folderową wiedzę o pierwsze własne spostrzeżenia.

Nie minęło dwadzieścia minut, jak już byłem po obiedzie. Zamówiłem kawę, bo dziwnie nie chciało mi się opuszczać tego miejsca, chociaż nic tu nie było ciekawego. Natomiast przybyło ludzi, zrobiło się gwarno. Mogłem nie tylko patrzeć, ale podłuchiwać sąsiadów, ludzi, jakby można było sądzić, bez tajemnic. Kawy tak złej w życiu nie piliem, ale jak się pali extra mocne, można przekonać najgorszą lurę i człowiek nie grymasi. Zresztą nie byłem z tych maminsyneków, którzy wybrzydzą na wszystko. Byłem przyzwyczajony do niewyszukanej kuchni matki, żarcia po knajpach trzeciej kategorii, akademickich stołówek, wojskowych kuchni na poligonie, pegeerowskich jadalni podczas żniw i jesienich wykopków; miałem żołądek strusia.

Minęło jeszcze parę minut i zorientowałem się, że jedyny w całej knajpie siedzący sam przy stoliku, stało przedem mną trzech młodych ludzi. Nie powiem, spytał grzecznie czy można, na co wskazałem im krzesła. Nie widziałem skrupowania w ich twarzach, ale w tym pierwszym momencie wyraźnie im przeszkadzałem. Z kolei ja beczelnie gapiłem się na nich, jakby im chciało dać do zrozumienia, że siedzą tu tylko dzięki mojej uprzejmości.

Byli robotnikami z budowy. Widać to było na pierwszym rzut oka, nie musiałem nawet podłuchiwać. Twarze wysmagne wiatrem, chłodem, lekko zacerwienione i brązowe. Grzłowane ręce z żabobnymi obwódkami na paznokciach. Takie ręce, jak moje w ostatnim półroczu. Ubrani byli także na pół roboczo: drelcho-we spodnie wysplamione wapnem i smarami, jeden w skórzanej kurtce, dwóch w marynareczkach, wszyscy w swetrach rozmaitych fasonów. Wychylił po pierwszym i jeden z nich jakby bojaźliwie zerknął w stronę drzwi.

— Majster może wpaść — powiedział tylko.

— Wielka rzecz — odpalił mu ten w kurtce — damy mu kielicha i spłynię.

— Udaje sztywniaka, bo mu Wrzos na karku siedzi — poparł go trzeci — ale równy chłop. To nie nasza pierwsza budowa.

Teraz miałem pewność, że są z mojego Kapebe. Mimo zniekształcenia padło tu nazwisko mojego niedawnego rozmówcy — chlebodawcy, dyrektora Wrześniewskiego.

— To panowie z budowlanki? — spytałem.

(d.c.n.)

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

CO ŚMIESZY AMERYKANÓW?

Bardzo ciekawe zjawisko obserwujemy w działalności wydawniczej. Ołóż ukazało się w ostatnich miesiącach parę nader interesujących publikacji z zakresu humoru i satyry. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe rozpoczęły znakomitą serię: „Przedstawiamy pisma satyryczne świata”. Dotychczas ukazały się już dwa gustowne tomiki prezentujące „Krokodyla” oraz węgierski „Ludas Matyi”.

To samo wydawnictwo opublikowało w tych dniach ciekawy tom poświęcony satyrze amerykańskiej. Wyboru dokonał oraz dowcipnym i erudycyjnym zarazem wstępem opatrzył Antoni Marianowicz. Z tomu tego wynika, że satyra w Ameryce ma się dość dobrze. Ale im łatwiej, przecież wiemy, ile jest w Ameryce rzeczy godnych ostrą satyrą.

Ale nie tylko satyrę znaj-

dziemy w antologii Marianowicza. Przecież Ameryka to również humor, często niezbyt wyszukany, ale zawsze rozbrajający. Humor wiodący swój rogowód z kabaretowych żartów Braci Marx. Oto w trakcie jednego ze spektakli rewiiowych któryś z komików wybiega na proscenium i dramatycznie woła: „Czy jest lekarz na sali?” Kiedy podnosi się jeden z widzów. Marx mówi: „To czemu zamiast siedzieć przy chorych w szpitalu, wygłupia się pan tutaj z tą blondynką?”

Albo taka historia. Groucho uczestniczył kiedyś w seansie spirytystycznym. Sławne medium nawiązywało kontakt z duchami i odpowiadało na pytania obecnych. „Czy są jeszcze jakieś pytania?” — zapytał prowadzący seans. „Owszem.” — odparł Marx. — Jak nazywa

się stolica Południowej Dakoty?”

Obok tego niewyszukanego, prostego humoru rodem z rewii i burleski znajdujemy w antologii Marianowicza także gryzącą satyrę społeczną i polityczną. I wydaje się, iż ona jest właśnie najmocniejszą stroną zarówno książki jak i całej satyry amerykańskiej.

Dostało się więc i amerykańskiej cenzurze, o której Martin Ragaway napisał: „Cenzor, który potrafi odkryć trzy znaczenia w dowcipie, który jest tylko dwuznaczny”. I amerykańskiemu sądownictwu, o którym Robert Frost napisał: „Ława przysięgłych składa się z dwudziestu osób, wybranych, aby zadenuncjować, która strona ma lepszego adwokata”. A także dostało się amerykańskiemu stosunkom, o których Mark Twain napisał: „Z łaski Boga posiadamy w Ameryce trzy

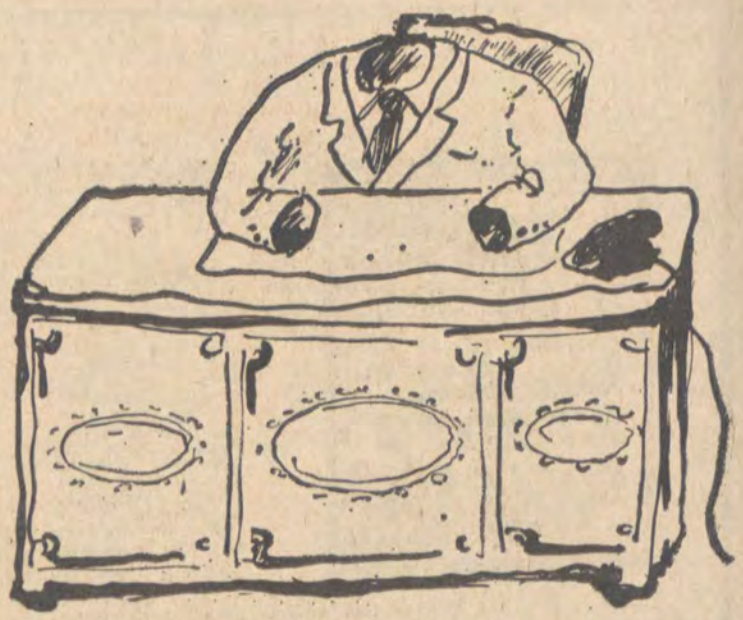
nieocenione skarby: wolność słowa, wolność sumienia i przeczność, aby nie brać tych dwóch wolności na serio”.

Wybitny poeta, Robert Frost, w ten sposób zadrwił sobie z urzędników: „Mógł to wspinać organ. Nie przestaje funkcjonować od chwili, kiedy człowiek się budzi, do momentu, kiedy wchodzi do biura”.

Oczywiście antologia Marianowicza zawiera nie tylko aforyzmy, ale opowiadania, humor, wiersze, fraszki... Zarówno autorów współczesnych (także dziennikarzy, na przykład Arta Buchwalda), jak klasyków: wspomnianego już Marka Twaina, Edwara Allana Poe, Ogdena Nasha, H. L. Menckena, Carolyn Wells, Franka Sullivana...

Kogoś może zdziwić, że w owej antologii satyry i humoru znajdzie takie nazwiska wybitnych poetów, jak — cytowany już — Robert Frost czy E. E. Cummings. Ale, jak pisze autor wstępu, w Ameryce satyra nie jest dla „poważnych” autorów gatunkiem wstydlivym i w antologiach humoru często są tam zamieszczane utwory wielkich poetów, właśnie Frosta, Cummingsa, Pounda czy Williama.

Żeby więc zakończyć poważnie i klasycznie, zacytujmy na



Rys. ANDRZEJ GRUB

final słowa Marka Twaina, który napisał: „Tylko ten humor będzie żył, który wyrasta z prawdy życia. Można śmiać się z człowieka, ale jest to bezsensowna zabawa, jeżeli

u podstawy utworu nie leży ukośnienie człowieka”.

WIDOK

NIE TYLKO HISTORIA

SPORY O POSTAWY

Spór o pozytywizm w swojej ostatniej, zainicjowanej przed kilkoma laty fazie, nie toczył się już w tak napiętej atmosferze, jak przed ćwierćwieczem i z pewnością budził znacznie mniej emocji, aniżeli rozwijający się z nim paralelnie spór o romantyzm. W jednym i drugim chodziło wszakże o to samo, co dawniej: nie tyle o adekwatną ocenę znaczenia danej formacji kulturowej w naszych dziejach, opartą o ustalenia nauki — z którymi dyskutanci często się po prostu nie liczyli — ale o ocenę uważanych za reprezentatywne dla tych formacji społecznych postaw, dokonywaną z punktu widzenia naszej współczesności, a więc nie tyle o pozytywizm czy romantyzm, ile o aktualność przypisywanych im tradycji. Świadomie powiadam tu: przypisywanych, bowiem wiążąc roman-

tyzm z tradycją Polski „strzelającej” — by posłużyć się terminem ukształtowanym przez Stefana Bratkowskiego — zaś pozytywizm z przeciwstawianą jej tradycją Polski „budującej”, dokonujemy operacji modelowania, w której rozciągamy określone postawy na całość danych formacji, nie będących w rzeczywistości tak jednoznacznie i jednorodnie, jakby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

Do dyskusji doszedł ostatnio nowy, znaczący głos. Jest nim niewielka książka znanej badaczki epoki pozytywizmu Janiny Kulczyckiej-Saloni, zatytułowana „Pozytywizm i Żeromski”, opublikowana niedawno (1977) przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Zawiera ona trzy szkice, tylko pozornie będące niezależnymi; od siebie studiami naukowymi; wszystkie

służą eksplikacji tych samych w istocie, ważnych wątków myślowych. Chodzi tu bowiem o to, jaki był rzeczywiste nasz polski pozytywizm, jakie było znaczenie kulturowej formacji, określanej tym mianem, w życiu naszego społeczeństwa.

Rozważając zagadnienie relacji wątków walki zbrojnej i pracy organicznej J. Kulczycka-Saloni słusznie podkreśla, że: „za mało pamiętamy, że są to dwa równoważące i wzajemnie uzupełniające się składniki naszego dziewiętnastowiecznych dzieł i, że nie będzie przesadą twierdzić, że zryw powstańcze możliwe były dlatego, że ktoś myślał i działał w duchu organicznym”. Wskazywał na to społecznie i ekonomicznie, że stworzył warunki umożliwiający nie tylko biologiczne trwanie narodu, ale pozwalające na dążenie do wyż-

szych, doskonalszych form istnienia. Nie chodzi mi tu oczywiście o kwestionowanie płodności poszukiwania w przeszłości wartościowych tradycji przez którekolwiek pokolenie Polaków, ani tym bardziej o zaprzeczanie aktualności odnawiania określonych wątków tradycji przez generację, która bierze na swe barki wielkie dzieło zbudowania „drugiej” Polski. Chodzi mi jedynie o to, że ocenianie pewnych formacji kulturowych czy wielkich epok historycznych jedynie z punktu widzenia poszukiwanych w nich tradycji, odwołujące się bardziej do wiedzy potocznej, aniżeli naukowej, prowadzi do utrwalania w świadomości społecznej nieadekwatnych sądów o przeszłości. Historyk zaś nie może być wobec tego zjawiska obojętny, bowiem fałsz zawsze pozostaje fałszem, niezależnie od tego, czy jest on dla nas sympatyczny, czy też nie.

Zbyt często też, zamiast do ustaleń nauki — badań historyków, literaturoznawców, hi-

storyków filozofii i wszystkich innych, jakie rozwinęły się w ostatnim ćwierćwieczu — odwoływano się świadomie czy też nie do utrwalonych w nauczaniu szkolnym stereotypów, dzisiaj już w znacznej mierze zdezaktualizowanych. One też — zauważa J. Kulczycka-Saloni — nie naukowa wiedza, „stanowiąca podstawę uogólnień i ocen formułowanych przez uczestników tej dyskusji. Dyskusja „romantyczna” — wciąż cytuję tu słowa autorki wspomnianej wyżej książki — zaś tym tylko różniła się od pozytywistycznej, że pierwsza przeszła do porządku ponad wiedzę literaturoznawczą, druga zaś zignorowała także wiedzę historyczną”. Stwierdzenie to ostre, ale niestety bardzo bliskie prawdy.

Czy w dziejach, w historycznej rzeczywistości minionych czasów, istnieją epoki „czyste”, takie, które mieściłyby w sobie, jakis jeden, tylko, określony wzorzec zachowań? Takie postawienie pytania jest absurdem, ale uświadamia nam, do

jakich uproszczeń możemy dojść, jeżeli pewną uznaną przez nas za typową dla danej epoki postawę rozciągamy na jej całość. Zaś wychwalanie pozytywizmu, jako jedynego źródła tradycji „budowania”, choć pewnie wpływa ze szlachetnych i pozytywnych społecznie intencji, zbyt rozmyja się z pozytywną rzeczywistością, by można się było na nie bezkrytycznie zgodzić. Mieści on przecież w sobie także i inne wątki: oprócz pochwały kapitalistycznego rozwoju i mobilizowania ludzi do pracy na jego rzecz, niesie również namiętne potępienie... socjalizmu jako ideologii ruchu społecznego, który ten umiłowany, burzawy i magnaci, były one powszechne wśród szlachty i bogatych mieszczan. Mniej lub bardziej zasobne, odzwierciedlały gusty i zainteresowania właścicieli, w minimalnym stopniu powstawały jako objaw panującej mody czy snobizmu. Jak pisał Barbara Bieńkowska: „Szczególnie eksponowany moment to uszlachetniająca funkcja biblioteki, przekonanie, że dostojność zgromadzonego księgozbioru sama z siebie oddała wszelkie zło moralne i fałsz”.

„Staropolski świat książek”, niezwykle ciekawa opowieść o dziejach polskiej książki i różnorodnych aspektach jej funkcjonowania w społeczeństwie, przedstawiona na tle kultury ówczesnej Europy, jest bez wątpienia książką potrzebną i zainteresuje nie tylko bibliotekarzy i księgoznawców. Kilkadziesiąt trafnie dobranych ilustracji oraz liczne fragmenty tekstów literackich, których tematem jest książka, to dodatkowe walory publikacji.

ANDRZEJ F. GRABSKI

DZIEJE KULTURY

STAROPOLSKI ŚWIAT KSIĄŻEK

W serii „Książki o książkach” wydawnictwa „Ossolineum” ukazała się niedawno interesująca książka Barbary Bieńkowskiej „Staropolski świat książek”. Jest to nie tylko dzieło księgoznawcze, ale może zainteresować wszystkich, którym nieobce są dzieje kultury staropolskiej. Książka, której problemy prezentujemy poniżej, obejmuje okres od XVI do XVIII wieku.

Szacunkowe obliczenia ilościowej produkcji typograficznej pozwalają na określenie liczby wydanych w tym czasie książek w granicach ok. 36 mln. egzemplarzy. Liczba ta ogromna, zważywszy, że równocześnie były w obiegu książki zagraniczne, masowo sprowadzane do kraju zwłaszcza w XVI i później w XVIII wieku i stanowiące przeważającą część zbiorów staropolskich.

Obok książki drukowanej gromadzono książki rękopiśmienne, szczególnie cenione przez bibliofilów. W formie rękopisów i odpisów krążyło wiele utworów literackich i dzieł naukowych. Nie negując bynajmniej roli książki drukowanej, Autorka zwraca szczególną uwagę na rolę książki rękopiśiennej.

Omówienie dawnych księgozbiorów oraz zachowanych zasobów starodruków i rękopisów jest wstępem do drugiej części książki, gdzie autorka analizuje przyczyny, skłaniające jednych do działalności na niwie tworzenia piśmiennictwa, drugich — do jego gromadzenia, przedstawiając w szerokim kontekście historyczno-kultu-

rowym motywację czytelnictwa oświeconej części społeczeństwa.

Odpowiedzią wydaje się renesansowa dewiza, umieszczona w supereklibrisie Jeana de Groliera, wskazująca na przynależność książki do posiadacza i jego przyjaciół. Zasadę „sibi et amicis” przejęli bibliofile polscy, tworząc wokół swych księgozbiorów skupiska elity intelektualnej. Nie bez znaczenia było też zafascynowanie książką, która obok podróży naukowych była jedynym źródłem zdobycia rozległej wiedzy, będąc jednocześnie warsztatem pracy pisarza i uczonego. Książki, na co szczególnie zwraca uwagę Autorka, były nośnikiem wartości stałych, nieprzemijających, uniwersalnych, były często jedynym punktem oparcia myśli i poczyną czytającego, tym oparciem, którego nie mogła zapewnić realna rzeczywistość. I dlatego właśnie uczeni i pisarze, będący równocześnie najgorliwsi czytelnikami, a nierazko zbieraczami książek, zaszczepiali w społeczeństwie kult książki, kształtowali opinię o potrzebie pisania książek, ich czytania i gromadzenia.

Niemalą rolę odgrywała też szkoła, w której podstawa wykształcenia była wiedza płynąca z książek, gdzie z braku dostatecznej liczby egzemplarzy przepisywano całe dzieła bądź ich fragmenty. Zwyczaj gromadzenia odpisów najbardziej ulubionych czy fascynujących utworów jest charakterystyczny dla kultury szlacheckiej. Zachowane egzemplarze tzw. „silva rerum” są dzisiaj często

jedynym przekazem staropolskiego piśmiennictwa.

O właściwie rozumianej kulturotwórczej funkcji książki świadczy często jej obecność w tekstach literackich, liczne zapiski marginalne, zachowane na egzemplarzach starodruków, a wskazujące na emocjonalny stosunek czytelnika do książki oraz nieustanne propagowanie potrzeby książki w wypowiedziach wybitnych uczonych, żeby wspomnieć tylko „Mowę o książkach...” Jana Amosa Komenskiego.

Opublikowaniem książki najbardziej zainteresowany był autor. Zdawało sobie sprawę, że tylko druk zapewni przetrwanie dzieła, uchroni je od zniszczenia i zapomnienia. Nie zawsze było to sprawą łatwą, nigdy tanią. Zysk ze sprzedaży nakładu przypadł najczęściej całkowicie drukarzowi. Autor mógł spodziewać się jedynie znikomej jego części, bądź wynagrodzenia ze strony mecenasa, nierazko sam uczestniczył w pokryciu kosztów druku. Zdobycie sławy wśród współczesnych i u potomnych nie było bez znaczenia, częściej jednak trud wydania książki wynikał z właściwego zrozumienia jej społecznej funkcji, z chęci pożytecznego oddziaływania, z przekonania, że dopiero udostępnienie utworu czytelnikom daje mu obiektywną, społeczną wartość.

Wiele utworów pozostawało w rękopisie, niektóre krążyły w formie odpisów. Przyczyną tego stanu rzeczy był albo brak środków na druk dzieła, bądź też względy natury ideo-

logicznej — cenzuralnej, rzadziej — brak zainteresowania ze strony twórcy piszącego dla siebie i bliskiego kręgu przyjaciół.

Czynnikiem, który warunkuje powstawanie książek oraz ich trwanie w tradycji kulturowej jest istnienie bibliotek, gromadzących obok literatury użytkowej książki o charakterze zabytkowym, historycznym. Księgozbiorem staropolskim poświęcony jest trzeci rozdział książki, przy czym autorka wprowadza tutaj wyraźne rozgraniczenie na trzy zasadnicze typy funkcjonalnych wówczas bibliotek: szkolne, kościelne i prywatne.

Szkoły były nie tylko zakładami, gdzie pobierano naukę. Były niejednokrotnie ośrodkami życia naukowego i kulturalnego na swoim terenie, skupiały uczonych i byłych wychowanków, zainteresowanych pogłębianiem wiedzy lub prowadzeniem samodzielnego badania. Książka była również podstawą w procesie nauczania. Tradycja istnienia księgozbiorów szkolnych sięga wczesnego średniowiecza. Gromadzone przez lata książki tworzyły w efekcie potężne zbiory. I tak księgozbiór Akademii Krakowskiej, największy i najświetniejszy, posiadał zestaw potrzebnych do studiów podręczników, ale przede wszystkim literaturę naukową ze wszystkich dziedzin wiedzy oraz bogaty zbiór beletrystyki. Zasobne księgozbiory posiadały szkoły różnorodne i kolegiackie, w Gdańsku, Toruniu i Wilnie. Z bibliotek szkolnych korzystali uczniowie i grono profesorskie, także osoby nie związane ze szkołą bezpośrednio. W zasadzie udostępniano książki wszystkim zainteresowanym, z większymi lub mniejszymi ograniczeniami.

Można by zaryzykować twierdzenie, że funkcje nie istniejących wówczas księgozbiorów publicznych spełniały biblioteki szkolne.

Podstawą gromadzenia zbiorów były dary i zapisy, w minimalnym stopniu zakupy. Pomieszczenia biblioteczne starały się urządzić i przyozdobić jeśli nie z przepychem, to przynajmniej tak by zaakcentować rolę księgozbioru. Opiekę nad nim sprawował wyznaczony nauczyciel, w bibliotekach większych zatrudniano bibliotekarzy.

Równoległe ze szkolnymi, funkcjonowały biblioteki kościelne, katedralne, kolegiackie, parafialne, seminaryjne i najzwyklejsze w stare i cenne księgi — klasztorne. Dodać tu również należy bibliofilskie kolekcje prywatne duchownych, po śmierci właścicieli wcielane najczęściej do zbiorów kościelnych. Mimo iż z biegiem czasu rola kościoła jako centrum kultury maleje, biblioteki rozwijają się nadal. Autorka słusznie podkreśla specyficzny sposób traktowania zbiorów bibliotecznych, jako części trwałego majątku, a co za tym idzie, szczególnej ich ochrony przed zniszczeniem i rozproszaniem. Formy korzystania z książek regulowały wydawane i stałe ponawiane instrukcje, przewidujące dla niedyscyplinowanych czytelników srogi kary. Obok literatury religijnej gromadzono dzieła z zakresu medycyny, historii, prawa, literatury i filozofii oraz piśmiennictwo reformacyjne i polemiczne. Książki, zasilał biblioteki kościelne najczęściej pochodziły z darów osób świeckich i duchownych, darów, o które zabiegano, które inspirowano lub wręcz wymuszano. Gromadzone też produkcję typograficz-

na własnych oficyn oraz wydawane rękopisy.

Ogólny upadek kultury w pierwszej połowie XVIII wieku kończy okres świetności bibliotek kościelnych. Już wczesniej rabowane, jako zdobycz wojenna, ulegają zniszczeniu i zapomnieniu, a liczne kasaty zakonów w XVIII i XIX wieku doprowadzają do upadku.

Rozważania o bibliotekach prywatnych kończą rozdział poświęcony dziejom księgozbiorów dawnej Polski. Wspólną ich cechą charakterystyczną jest duża liczba zbieraczy i różnorodność tematyczna zbiorów. Biblioteki posiadali królowie i magnaci, były one powszechne wśród szlachty i bogatych mieszczan. Mniej lub bardziej zasobne, odzwierciedlały gusty i zainteresowania właścicieli, w minimalnym stopniu powstawały jako objaw panującej mody czy snobizmu. Jak pisał Barbara Bieńkowska: „Szczególnie eksponowany moment to uszlachetniająca funkcja biblioteki, przekonanie, że dostojność zgromadzonego księgozbioru sama z siebie oddała wszelkie zło moralne i fałsz”.

„Staropolski świat książek”, niezwykle ciekawa opowieść o dziejach polskiej książki i różnorodnych aspektach jej funkcjonowania w społeczeństwie, przedstawiona na tle kultury ówczesnej Europy, jest bez wątpienia książką potrzebną i zainteresuje nie tylko bibliotekarzy i księgoznawców. Kilkadziesiąt trafnie dobranych ilustracji oraz liczne fragmenty tekstów literackich, których tematem jest książka, to dodatkowe walory publikacji.

MAREK CZECHOWSKI